Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego
CIV 9013

NUMER JUBILEUSZOWY

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 27 listopad 1949 r. | Nr 47 (209)

TREŚĆ NUMERU: Wojciech Kętrzyński — Pax americana; Żuk — Plakat i jego rola; Tadeusz Mazowiecki — Błędy na trudnej drodze; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Zygmunt Lichniak — Ślad Chrystusa w Lucanii; Paweł Jasienica — Mity; Leszcz — „Gdzieś w Europie". Tydzień Kulturalny. Leszcz — Z notatnika radiosłuchacza. Czytelnik uważa, że...

WYTYCZNE

Czwarta rocznica istnienia „Dziś i Jutra" jest specjalną okazją do przesłania wyrazów przyjaźni naszym Czytelnikom, którzy konsekwentnie dążą z nami drogą wspólnych przemyśleń i wniosków.

Sens istnienia środowiska „Dziś i Jutro" polega przede wszystkim na przyczynieniu się do stworzenia perspektywy ideologicznej i politycznej dla katolików świeckich w Polsce. Ogólny ten problem rozbija się na konkretne zagadnienia.

Pierwsze, to ocena rzeczywistości.

Na pytanie, kto zwycięży w konflikcie systemu kapitalistycznego z socjalistycznym, odpowiadamy — „zwycięży system socjalistyczny, bo jest w swych dążeniach słuszniejszy".

Na pytanie, jakie wobec tego winno być stanowisko katolików — odpowiadamy: katolicy z całą świadomością swojej odrębności religijnej i filozoficznej winni dążyć do pozytywnego zainteresowania się socjalizmem, winni być obecni przy budowie społeczno-gospodarczych osiągnięć socjalizmu.

Na pytanie, z jakim ośrodkiem międzynarodowym wiąże społeczeństwo polskie współczesna racja stanu, odpowiadamy — z tym ośrodkiem, którego cele i interesy gwarantują nam dążenie do pokoju, gwarantują nam granice na Odrze i Nysie. Ośrodkiem tym jest ZSRR i Państwa Demokracji Ludowych.

Drugi problem stanowi organizowanie twórczości artystycznej, intelektualnej i wychowawczej, opartej o światopogląd katolicki. Trudność i głębia twórczości katolickiej polega na tym, że musi być ona jednocześnie oparta o wiedzę i wiarę. Bez twórczej pracy katolików świeckich zarówno w skali dnia codziennego, jak i w skali wielkiej problematyki, nie powstanie perspektywa życiowej działalności.

Przypominamy jednak, że wszelka twórczość powstawać może jedynie na tle trafnej oceny rzeczywistości.

Dążenie do podzielenia się z Czytelnikami trafną oceną rzeczywistości ideologicznej i politycznej stanowiło wytyczną pracy „Dziś i Jutra" w ubiegłym roku.

Zygmunt Kubiak

WALKA O RADOŚĆ

Jeżeli mówi się w pewnej poetyckiej metaforze o „przyjaźni człowieka z książką", to w odniesieniu do powieści B. Marshall'a*) wyrażenie to trzeba rozumieć dosłownie. Chyba nikt, odkładając ją po przeczytaniu, nie łudzi się, że zamknął ją na zawsze. Będziemy nieraz wracać do jej bohaterów, jak do starych dobrych znajomych. Niewielu jest pisarzy, którzy potrafią stworzyć taki świat żyjących postaci. I niewielu jest autorów, którzy będąc tak głęboko lojalni wobec prawdy psychologicznej swoich bohaterów, potrafią jednocześnie tak silnie przepoić utwór własną osobowością i miłością do czytelnika.

Wszystko to sprawia, że pisząc o tej książce trzeba bardzo się strzec, aby artykuł nie zamienił się w liryczne rozmyślania. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby był on wyrazem wdzięczności dla autora.

FRANCISZKAŃSKA DROGA DO PRAWDY

Jesteśmy wdzięczni autorowi za głęboką mądrość, z jaką ukazuje on nam tajemnice życia. Jak określimy jego postawę? Czy nazwiemy ją optymizmem? Tak, ale trzeba zastrzec, że nie jest to płytki i łatwy optymizm ślepy na zło i rezygnujący z walki. Filozofię autora trudno wtłoczyć do jakiegoś schematu. Raczej poszukałbym dla niego miejsca w ogólnym nurcie myśli chrześcijańskiej.

Wtedy Marshall znajdzie się po tej stronie, gdzie św. Franciszek z Asyżu sławił piękno świata i życia, a św. Tomasz z Akwinu mówił o głębokiej bezsilności zła, które jest tylko brakiem dobra. Na pewno nie jest to ta strona, gdzie św. Augustyn mówił o „civitas terrena — civitas diaboli" i gdzie bohaterowie Bernanos'a walczą „pod słońcem szatana". Te dwa nurty w ostatecznym obrachunku łączą się ze sobą — w obliczu najwyższych tajemnic: zawsze chrześcijaństwo jest w pewnym sensie tragiczne i zawsze poza tym tragizmem widać światło nadziei. Są to po prostu dwie strony tej samej prawdy. Dlatego wydaje się, że niebezpieczne jest rozstrzyganie kto pełniej i lepiej wyraża chrześcijaństwo: św. Augustyn, czy św. Tomasz— Bernanos, czy Marshall? Mamy wielką pokusę odpowiedzieć, że właśnie św. Franciszek, że naszym czasom potrzebny jest bardziej radosny blask książek Marshalla niż opis dręczących nocy księdza Donissan. Warto tu jednak przypomnieć głęboką uwagę Chestertona, że katolicyzm jest dla każdego z nas za wielki, że każdy z nas potrafi objąć tylko drobną jego część. A więc do Prawdy jest wiele różnych dróg. I wydanie, w tej samej serii, powieści Marshall'a, zaraz po książce Bernanos'a jest dobrze pomyślanym przypomnieniem uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Z drugiej strony jednak nie mam serca walczyć z tą pokusą, która każe mi powiedzieć, że franciszkańska droga Marshall'a jest szczególnie piękna, bo tyle na niej słonecznego światła. Na tej drodze spotykamy bohaterów jego książki, a przede wszystkim ks. Smitha. Ks. Smith bardzo szybko przestaje być dla nas obojętną postacią powieściową. Czyż można patrzeć na niego spokojnie, jak biega po ulicach szkockiego miasta (akcja wypełnia, mniej więcej, pierwszą połowę XX wieku) i znajduje nadzieję tam, gdzie wszyscy już ją tracą? Tej nadziei uczył go jego mądry biskup James Michael Gabriel, który mówił: „Wiemy, że piekło istnieje, ponieważ Bóg nam to powiedział, a Bóg nie może skłamać, ani być okłamanym. Ale nikt nie kazał nam wierzyć, że w piekle przebywa ktokolwiek." Dlatego przed snem modli się ksiądz Smith za duszę Judasza z Kariotu, bo wie, że „nawet jego sprawa nie jest beznadziejna, jako że Bóg mógł udzielić mu łaski ostatecznej skruchy podczas upadku z drzewa".

Mówiliśmy już, że nie jest to łatwy optymizm. Ks. Smith czuje litość dla grzeszników, którzy „przy ostatnim drgnieniu powiek muszą pojmować nagle straszliwy fakt, że ostatecznie objawienie było prawdziwe..." „Jednej rzeczy jestem pewien, — mówi innym razem — że dopóki wszyscy nie będziemy starali się być bardzo dobrymi, będziemy wszyscy okropnie źli". Z naciskiem podkreśla Marshall, że chrześcijaństwo jest trudną drogą. Ks. Smith ma oczy szeroko otwarte na tragizm ludzkiego życia.

Ale mimo wszystkich ludzkich cierpień dla każdego człowieka przeznaczona jest radość i na dnie każdego smutku można znaleźć nadzieję. Radość jest naturalnym stanem ludzkiej duszy — oto podstawa filozofii życiowej autora. Świat został zamierzony przez Stwórcę jako piękny i dobry — mówi nam Marshall, a zaraz potem dodaje: i może takim być, właśnie dzięki łasce: łaska „leży po całej ziemi w błyszczących srebrnych kałużach, a ludzie mogą deptać po nich lub nachylać się i pić zależnie od swoich chęci".

Dlatego ks. Smith kocha świat doczesny. Cieszy się zielonością trawy i ma nadzieję, że taką samą ujrzy na tamtym świecie. Biskup nazywa go poetą. Marshall mówi o „poezji wiary". I rzeczywiście, po stronicach jego książki często przechadza się duch Chateaubriand'a. Nie jest to jednak żaden sztuczny estetyzm. „Na to, by świat był bezpieczny, młodzi ludzie muszą przeżywać swą poezję, nie tylko szeptać ją" — mówi umierający biskup.

Co to znaczy przeżywać poezję? Jedną z najpiękniejszych scen powieści jest ten fragment, gdy biskup, ks. Smith, ks. Bonnyboat i prałat O'Duff, w r. 1940 sami wykańczają budowę kościoła, dźwigając i układając cegły. Na całą scenę pada blask średniowie-

*) Bruce Marshall: **Chwała Córy Królewskiej.** Tłumaczył Jan Józef Szczepański. Spółdzielnia wydawnicza „Pax".

CZYTELNIKOM i SYMPATYKOM „DZIŚ i JUTRO", KTÓRZY TOWARZYSZĄ NAM OD CZTERECH LAT W TRUDNEJ LECZ KONSEKWENTNEJ DRODZE, SKŁADAMY SERDECZNE WYRAZY PODZIĘKOWANIA

REDAKCJA i ZESPÓŁ „Dziś i Jutro"

DMI 591 05

cza budującego katedry. Ta radosna praca kontrastuje ze smutnym czasem wojennym. Ale ks. Smith nie wpada w pesymizm. On wie, że nic nigdy nie jest stracone; on wie, że o poezję życia trzeba walczyć: „Gdybyśmy tylko nauczali odważniej, że chrześcijaństwo nie jest wcale przyzwoitym nawykiem powściągliwości, ale głośnym, wulgarnym, zgiełkliwym bohaterstwem!"

WALKA O CZŁOWIEKA

To „zgiełkliwe bohaterstwo" ks. Smitha i jego towarzyszy wypełnią całą powieść. Na każdym kroku rozpoznajemy uczucia samego autora, jego wielką miłość do człowieka. Dlatego ks. Smith patrzy na ludzi z tak wielkim miłosierdziem i wyrozumiałością. Próbuje on tłumaczyć ludzkie winy różnymi okolicznościami, czasem po prostu — nieświadomością. Ale w jego postępowaniu zasada: „wszystko zrozumieć to znaczy wszystko przebaczyć" — przestaje być tym, czym jest najczęściej — umywaniem rąk wobec mroku ludzkiego życia. On rozumie, że otrzymywanie miłosierdzia może nic nie kosztować, ale dawanie go kosztuje bardzio wiele.

Takiej właśnie postawy wymaga pełne i dogłębne zaangażowanie się w to, co nazywaliśmy walką o człowieka. Na czym polega ta walka? Najważniejszym jej celem jest zawsze zbawienie ludzkiej duszy. Dlatego ks. Smith za wszelką cenę stara się ocalić duszę umierającego marynarza, który „robił różne świństwa" i może tylko tyle powiedzieć, iż „żałuje, że nie żałuje" swych win. W ten sposób na tle rozległego obrazu problematyki społecznej, na tle skonkretyzowanego tła Szkocji z pierwszej połowy XX wieku — okresu dwóch wojen światowych. — zaznacza się wyraźnie głęboki personalizm Marshall'a. Ks. Smith raduje się; gdy widzi, że „są jeszcze inni ludzie na świecie, którzy prowadzą tę samą samotną walkę o łaskę". Mówiąc o okrucieństwie wojny pamięta on, że „milion ludzi, którzy giną w bitwie, to milion pojedyńczych osobnych samotności, każda ze swymi gwiazdami, drzewami i lasami".

Ale w rozległej perspektywie swojego personalizmu autor zmieścił całą bogatą i skomplikowaną problematykę społeczną, ukazał socjologiczne uwarunkowania ludzkiego losu. U niego problemy społeczne tłumaczą się zaraz na język oceny moralnej. Niedawno H. Malewska zwróciła uwagę na możliwość socjologicznej interpretacji średniowiecznej legendy o zbrodniarzu, który został zbawiony w ostatniej minucie życia dlatego, że co dzień odmawiał modlitwę do Matki Boskiej: może dla tego człowieka, w jego warunkach, ta resztka religijności była trudniejsza niż dla innego najwyższe zasługi społeczne... Podobnie ujmuje tę sprawę Marshall. Dlatego u niego zainteresowanie problematyką społeczną nie jest dodatkiem do zagadnień metafizycznych, nie jest trybutem złożonym duchowi czasu, ale wynika z istoty jego spojrzenia na świat.

Jedną z najpiękniejszych postaci książki jest ubogi konduktor James Scott. „Gdy ks. Smith przechodził przez jezdnię, zastanawiał się, czy sam potrafiłby służyć tak dzielnie Bogu, jak robił to Scott przez ostatnich dwa dziesięć lat, gdy musiał dziurkować bilety i dmuchać w gwizdek".

Nie każdy jednak potrafi stawić czoło trudnym warunkom społecznego życia. Załamuje się nieszczęśliwy Angus Mc Nab, który walczył w pierwszej wojnie światowej po to, aby potem „sprzedawać na ulicy sznurowadła tej cywilizacji, którą pomógł ocalić". Angus kończy na szubienicy jako morderca własnej żony. Ks. Smith spowiada go przed egzekucją. Teraz sprawą najważniejszą i największą jest ocalenie duszy ludzkiej i ksiądz błaga Angusa, aby przebaczył światu mrok swego własnego życia. Ale sam ma oczy głęboko i boleśnie otwarte na źródła społecznego zła: „W piersi księdza podnosiła się fala wściekłości przeciw bogatym, gdy myślał, jak łatwe było wszystko dla nich, a jak trudne dla Angusa".

Dlatego właśnie w swojej walce o człowieka ks. Smith sięga również do źródeł społecznego zła. „...Cały ten kant z walką o wolność! — woła w odpowiedzi na frazeologię wojenną. — Czy górnik jest wolny? Czy robotnik jest wolny? Czy wszelka wolność nie zależy od warunków gospodarczych?"

„Chwała córy królewskiej" jest katolickim oskarżeniem kapitalizmu, oskarżeniem opartym o najwyższe i ostateczne argumenty. Dobroduszny zawsze ks. Smith wybucha tak wielkim oburzeniem przeciw krzywdzicielom i wyzyskiwaczom właśnie przede wszystkim dlatego, że ich zbrodnia prowadzi do zguby dusze innych ludzi. Aspekt pozaczesny, który jest zawsze zasadniczą podstawą personalizmu Marshalla, wiąże się tu ściśle z walką o piękno życia doczesnego, o ten świat, który z woli Boga ma stać się „wspaniałym miejscem". Prałat O'Duffy, towarzysz ks. Smitha, jest przekonany, że „wojny ustałyby raz na zawsze, gdyby ludziom na całym świecie dany był zaszczytny i radosny przywilej trudzenia ramion, nóg i oczu ciosaniem, kuciem, rzeźbieniem i dźwiganiem dla Boga i Jego Świętych".

I razem ze swoimi bohaterami Marshall głęboko wierzy w to, że świat może stać się „wspaniałym miejscem", że można skutecznie walczyć ze złem i krzywdą. Wierzy we wszechmoc łaski, przypomina o tym, że chrześcijaństwo jest zarzewiem ciągłej rewolucji, nie traci nigdy wiary w dobroć ludzkiej natury, którą można wygrzebać spod złudnej pokrywy zła. Dlatego książka Marshalla jest pełna optymizmu, ale optymizmu poważnego i czujnego, optymizmu ciągłej walki.

Jest to walka pełna radości. U Marshalla na ziemi zawsze odbija się jasność nieba. Na każdego ze swoich bohaterów rzuca on snop ciepłego blasku i nie pozwala nam mijać go obojętnie. Widzimy ich wszystkich z bliska: — James Scott, panna O,Hara — dyrygentka chóru, tyle innych postaci, a przede wszystkim prałat O'Duffy, który w swoich kazaniach najczęściej mówi o piekle, aby ludzi skuteczniej skłonić do miłości, i który chodzi w najtańszych koszulach, by więcej pieniędzy rozdać ubogim; i ks. Bonnyboat, który chce ludzi uczyć piękną przez liturgię; nie zapominamy również mądrego biskupa, który w wyświechtanym płaszczu i z pokorą w duszy rządzi swoją diecezją i który lubi jeść kiełbaskę na lunch. Ale z tą kiełbaską to jest dłuższa historia ..

SPRAWIEDLIWOSC ARTYSTY

„Biskup stał nad piecem i tłumaczył, że główną przyczyną, dla której większość ludzi nie potrafi gotować kiełbasek, jak się należy, jest to, iż zapominają je obracać".

To jest nie tylko żart, taki niewinnie humorystyczny sposób ukazania świątobliwego pasterza, którego śmierć przy końcu powieści stanie się akordem wysokiego patosu. To jest wynik swoistego spojrzenia na świat, swoistej wizji artystycznej autora. Oto jak przedstawia on nam prałata O'Duffy: „...Znany był on z tego, że wylewał herbatę na spodeczek, by ją ochłodzić, i że na zebraniach kapituły wycierał nos w czerwoną chustkę".

Mamy tu przykład typowo epickiego spojrzenia na świat. Dla prawdziwego epika wszystkie sprawy są ważne, a jednocześnie żaden namiętny blask tej ziemi nie potrafi ujarzmić jego słowa. Epik musi zawsze utrzymać wobec opisywanych zdarzeń pewien dystans, ale ten dystans nie stanowi przeszkody dla miłości. Tak patrzył na świat Homer. Ciekawą jest rzeczą, że współcześni krytycy piszą wiele o humorze Homera. I rzeczywiście, istnieje głębokie powinowactwo między humorystycznym a epickim sposobem oglądania świata.

Ktoś mówił nawet o związku między poczuciem humoru z religijnym stosunkiem do życia. Zdaje się, że jest to nadzwyczaj trafne zestawienie. Humorystyczne traktowanie wielu spraw życia doczesnego jest w istocie bardzo chrześcijańskie. Stoi ono równie daleko od niewolniczego zaplątania się w rwącym potoku zdarzeń, jak i od pełnej pychy obojętności stoickiego mędrca. W świetle humoru wali się fałszywy patos rzeczy błahych, a patos rzeczy wielkich rozbłyska jeszcze czyściej i piękniej. Humorysta nie jest niewolnikiem świata, potrafi utrzymać swoją duchową niezależność, a jednocześnie żyje w gwarze tego świata i z głęboką sympatią ukazuje go w ciepłym blasku swojej serdecznej ironii.

Humorystyczna barwa stylu Marshalla stanowi istotny element jego wizji epickiej. Epickość utworu zaznacza się równie wyraźnie w ogólnej konstrukcji obrazów, w doborze rejestrowanych faktów, barw i dźwięków, jak i w samym języku. Język ten jest niezwykle konsekwentny. Żaden przymiotnik, żadna metafora nie jest rzucona na daremno, każde słowo coś znaczy. To jest styl prawdziwie realistyczny, bo słowo jest całkowicie poddane opisywanym rzeczom; a urok jego pochodzi stąd, że artysta tak głęboko wejrzał w tajemnice rzeczywistości i tak pokornie potrafi o nich opowiadać. Marshall przede wszystkim opowiada. Gdy jego zdania układają się w pełne dziecięcego czaru i epicznej naiwności frazy, jakby żywcem wyjęte ze średniowiecznych poematów, — to nie jest to wynikiem sztucznej stylizacji, ale podobnego spojrzenia na świat, podobnego szacunku dla szczegółów, dla wielobarwnego tła zdarzeń, dla ich subtelnej i bogatej treści. Nie wiem, czy w rozważaniach estetycznych można używać takich słów, ale zdaje mi się, że właśnie słowo „miłość", a nawet słowo „miłosierdzie", jest najlepszym określeniem nastroju wizji artystycznej Marshalla.

Dlatego wydaje się, że nie jest bardzo potrzebne szukanie dla stylu Marshall'a jakichś filiacji literackich, które erudyci mogą łatwo znaleźć w literaturze francuskiej. Dla nas najważniejsze jest to, że jego styl pozostaje w głębokiej harmonii z jego poglądem na świat, z jego poważnym, a jednocześnie radośnie afirmatywnym stosunkiem do życia. W istocie chodzi tu ciągle o tomistyczne „plus esse", o rozkoszowanie się intensywnością życia. Dlatego słowa artysty są tak barwne, nawet wtedy, gdy pozbawione są metafor. Dlatego subtelny humor zaznacza się czasem w doborze jednego słowa, w zwróceniu uwagi na jeden szczegół, który wymknąłby się powierzchownej obserwacji. W interpretacji Marshall'a świat jest tym bardziej „zabawny", im głębiej i szerzej na niego patrzymy. Ks. Smith jest przekonany, że od wszystkich szaleństw świata „znacznie **zabawniejszą** (podkreślenie moje — Z. K.) rzeczą jest posłuszeństwo wobec Boga". Ten motyw powtarza się często. Gdzie indziej słyszymy, że „Bogu nic to nie szkodzi, jeśli ludzie śmieją się w kościele, byle tylko śmieli się z właściwego rodzaju żartów". I w tym momencie przypomina się nam ów słynny osioł grający na lutni wyrzeźbiony we wnętrzu średniowiecznej katedry gotyckiej...

To epickie i humorystyczne spojrzenie na świat jest jednocześnie głęboko mistyczne. Marshall pokazuje nam, że mistyka religijna nie jest jakąś ucieczką i wyrzeczeniem, ale właśnie najwyższym spotęgowaniem intensywnego przeżywania piękna świata i życia. Ksiądz Smith, widząc brzydotę i nudę, dziwi się, dlaczego ludzie nie szukają w chrześcijaństwie pełni istnienia; dlatego właśnie tak silnie zawsze podkreśla poetycki patos liturgii i wielobarwne bogactwo religijnego obrazu świata. W oczach Marshall'a zło jest tylko ograniczeniem, tylko brakiem dobra. „Gdy patrzę na świat nie z nadprzyrodzonego punktu widzenia — mówi biskup — dochodzę do wniosku, że największym moim zarzutem przeciw grzechowi jest jego nuda". Natomiast religia jest romantyczną przygodą, która zamienia bohaterów powieści w rycerzy i trubadurów.

Zasadniczym problemem każdej literatury, a katolickiej w szczególności, jest ukazanie rzeczy niewidzialnych poprzez widzialne, ukazanie tajemnic duszy i tajemnic łaski poprzez codzienne fakty życia. Są dwa główne sposoby ujmowania niewyczerpanej prawdy o łasce: albo ukazuje się ona jako rozpaczliwie wyczekiwane rozwiązanie sprzeczności i tragizmu ludzkiego życia, albo też jest harmonijną nadbudową i dopełnieniem tego życia, jego najwyższym, przekraczającym ludzkie wymiary, uintensywnieniem. Jeżeli wizja Marshall'a kształtuje się według tego drugiego ujęcia, to nie oznacza to bynajmniej jakiegoś naturalizmu. To nie świat nadprzyrodzony jest ściągnięty do wymiarów natury, to właśnie natura jest ukazana w nadprzyrodzonym blasku. Myśliciele chrześcijańscy często przypominali, że w najgłębszym sensie cały świat jest cudem.

Artysta przedziera się poza powierzchnię zdarzeń, aby ujrzeć ich najgłębszą i najistotniejszą treść, ich metafizyczny sens. W ten sposób z epickiej narracji Marshall'a wyrasta patos wielu scen, które, nie tracąc nic ze swego realizmu, otrzymują głęboką wymowę symbolu. Oto naprzykład opis śmierci marynarza, którego ks. Smith uratował od potępienia:

„...Potem piżama starego marynarza przestała się ruszać, a twarz zdawała się kurczyć i zapadać, jak gdyby próbowała stać się z powrotem twarzą dziecka. Ksiądz Smith modlił się do świętych i do Aniołów Pańskich, aby zstąpili i zeszli się razem i zabrali duszę starego marynarza przed oblicze Najwyższego, bowiem wiedział, że stary marynarz umarł. Ksiądz wyszedł na ulicę, tramwaje przejeżdżały z brzękiem, wszystkie upstrzone czerwonymi, niebieskimi i zielonymi ogłoszeniami, jak gdyby jedzenie ciągutek miało trwać wiecznie."

Gdy czytamy taki opis, rozumiemy, jak głęboko trafne są słowa Conrada o pracy artysty, który ma wymierzać najwyższą sprawiedliwość widzialnemu światu.

***

Łatwo się domyślić, że takie książki — jak powieść Marshalla, narażone są na wielkie niebezpieczeństwo ze strony tłumacza, który może prawie zupełnie zniszczyć ich urok artystyczny. Z tym większą radością czytamy piękny przekład „Chwały córy królewskiej" dokonany przez Jana Józefa Szczepańskiego. Kilka tygodni temu Antoni Gołubiew pisał bardzo słusznie („Tygodnik Powszechny", nr 239) o wielkich grzechach naszej krytyki literackiej w stosunku do sztuki przekładu. Zdaje się, że tym razem nadarzyła się jedna z lepszych okazji do nadrobienia tego zaniedbania, i dobrze by było, gdyby na tłumaczenie Szczepańskiego zwrócono baczniejszą uwagę. Wystarczy przeczytać niewielki jego fragment i porównać go z tekstem oryginalnym, aby się przekonać, jak doskonale tłumacz zachował cały urok prozy Marshalla, jej lekkość, barwność i czarujący rytm.

Zygmunt Kubiak

ŚW. AUGUSTYN

WYZNANIA

z łacińskiego przetłumaczył, wstępem i komentarzem zaopatrzył

Ks. Dr Jan Czuj

Prof. Uniwersytetu Warszawskiego

8. k. str. 428 cena zł. 1.200.—

do nabycia

w Księgarni Krakowskiej — Kraków, ul. Św. Krzyża 13

i w innych księgarniach.

WNĘTRZE

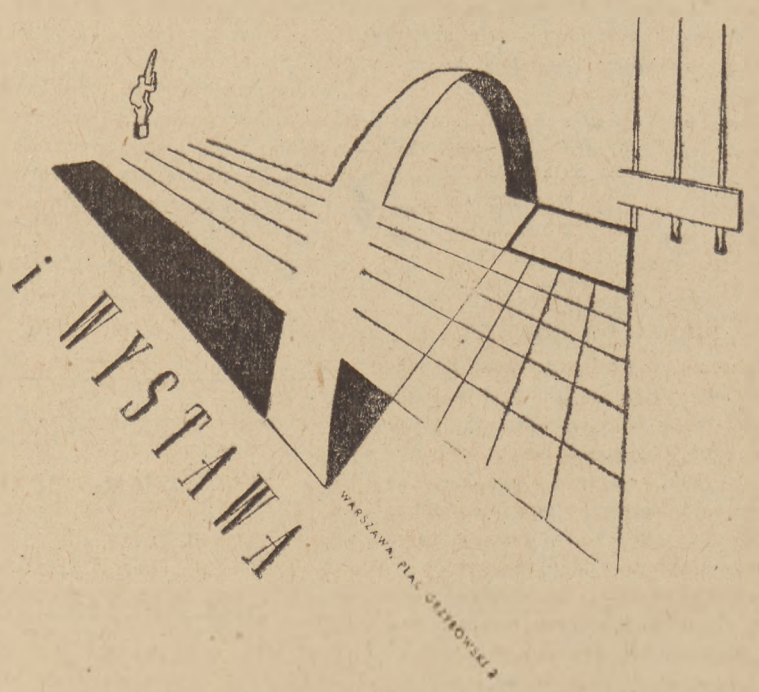

Wojciech Kętrzyński

Francja A. D. 1949

PAX AMERICANA

Dziwna jest kariera Stanów Zjednoczonych. Do pierwszej Wielkiej Wojny, słabe, niemal półkolonialne państwo, beznadziejnie zadłużone u bogatych bankierów Europy. Pierwsza Wojna Światowa potężnie wzmocniła prestiż amerykański, jeszcze bardziej jednak wzmocniła skarb Stanów Zjednoczonych, które, na przedłużającej się neutralności, najlepsze zrobiły interesy. Powojenny kryzys gospodarczy zachwiał jednak znowu pozycją USA. Po drugiej Wojnie Światowej startują jednak Stany Zjednoczone jako potęga ekonomiczna i polityczna, wybijają się na czoło wielkich mocarstw, pozostawiają daleko za sobą zniszczone Niemcy i Japonię, załamaną mocarstwowość Francji, Imperium Brytyjskie w pełni kryzysu. Jedynie potęga Związku Radzieckiego potrafi skutecznie konkurować i przeciwstawiać się wzrastającym z dnia na dzień imperialistycznym ambicjom Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone są dziś jawną, szczycząca się swą rolą, ojczyzną kapitalizmu, są one przedmiotem westchnień, najwyższym mieszczańskim ideałem. Jeśli nie zawsze i nie wszędzie rozlega się w tych środowiskach westchnienie „O, jak chciałbym do Ameryki wyjechać", gdyż ci urodzeni realiści wiedzą, aż nadto dobrze, że „Ameryka jest tylko dla Amerykanów", to jednak często jest tam skarga „Dlaczegóż u nas nie jest tak, jak w Ameryce".

Rzecz oczywista, Stany Zjednoczone mogą się stać obiektem mitu tylko w tych środowiskach, które znajdują się pod specyficznym urokiem kapitalistycznej rzeczywistości. Dla tych wszystkich, których ideę kazały otworzyć oczy na piętrzące się problemy społeczne, dla tych wszystkich, dla których pojęcie sprawiedliwości społecznej nie jest czczym i naiwniutkim frazesem — Stany Zjednoczone w żaden sposób nie mogą być przedmiotem zachwytu. Przeciwnie, dobrobyt, panujących warstw, potęga materialna i techniczna stają się przedmiotem surowej lecz usprawiedliwionej krytyki. Nie mniej trzeba stwierdzić, że niezależnie od postawy ideowej, niezależnie od stopnia krytycyzmu w stosunku do praktyk kapitalizmu — powstaje na zachodzie Europy nienaturalnie wyolbrzymiony mit „Amerykańskiego człowieka", legenda o „nowej, wspaniałej amerykańskiej cywilizacji". Nad zmordowanym, chaotycznym i bezsilnym mieszczańskim światem Zachodniej Europy zaciążył poprostu cień młodego i dynamicznego amerykanizmu. Istnieje dziś na zachodzie moda na U.S.A.

Mechanizm powstawania tej mody jest raczej przejrzysty. Składa się na niego z jednej strony niewątpliwie swoisty prestiż Mekki światowego kapitalizmu, nie mniej jednak skutecznym narzędzem jest potęga prasy amerykańskiej, wydawanej dziś nie tylko w języku angielskim, gdyż amerykańskie koncerny prasowe działają we wszystkich państwach Europy Zachodniej. Dźwignią jednak tej mody jest po prostu potęga dolara w porównaniu do mizernych walut zachodnio - europejskich. Wizja bogatego amerykańskiego turysty wyczarowuje dziś na zachodzie **„music hall"** zamiast dawnych **„Variétés", „coctail - bar", „milk - bar", „lunch - room"** zamiast starych i poczciwych **„café"** i **„restaurant"**, ekstra - paryskie midinetki szyją dziś suknie według kanonów **„new look"**, kelnerzy podają **„ice cream"** i **„whisky and soda"**. Tak powoli amerykanizują się obyczaje, za nimi amerykanizują się i pojęcia. Amerykanizują się równie mechanicznie i równie utylitarnie. Tak długo jak potęga materialna Ameryki wydawała się poślednia, obyczaje jej były przedmiotem drwin, a pojęcia pogardy, gdy wzrosło jej znaczenie — stały się cennym towarem.

„Ulegamy coraz to bardziej wpływom Stanów Zjednoczonych, przyznaje się na łamach „Figaro" czołowy publicysta André Siegfried, nie tylko ich impulsom politycznym, lecz także ich metodom twórczości. Musimy sobie też zdać sprawę, że duch Nowego Świata oddala nas coraz to bardziej od naszych starych źródeł kultury.

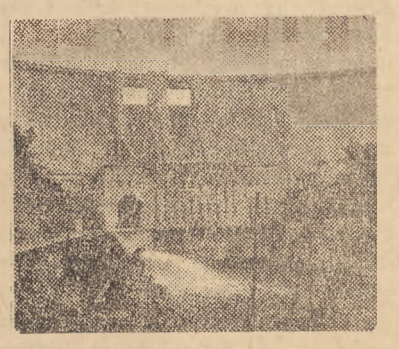

Tama wodna w St. Etienne.

Tą drogą, doszukując się czysto werbalnie jakichś nowych wewnętrznych wartości w tym eksportowym amerykaniźmie, z jakim spotykamy się na codzień na zachodzie — próbują niektórzy ukrywać swe utylitarne cele, a inni zaś — swą kapitulację przed siłą i bogactwem, uosobionym ich zdaniem w zachodniej półkuli.

Dwadzieścia pięć wieków — przeciw dwudziestu pięciu piętrom.

Ta amerykańska moda jest jednak tylko wyrazem powierzchownej konjunktury, mimo historiozofii Siegfrieda. W istocie, przy niewątpliwej zewnętrznej uległości zachodniej Europy wpływom amerykanizmu — toczy się zażarta, ukryta i przewlekła walka.

Byłem osobiście świadkiem w Rzymie następującej rozmowy: Na wysokich stołkach eleganckiego baru siedzi dwóch młodych a rosłych Amerykanów, popijających jakieś Coca-Cola; barman zabawia ich rozmową— „Czy podoba się panom nasze miasto? Tak, tak, odpowiadają cudzoziemcy, bardzo ciekawe miasto, **much exciting**; a panowie skąd, ciągnie dalej Włoch. Z Chicago, pada natychmiast odpowiedź. Grzeczny gospodarz kiwa głową. — Podobno bardzo ładne miasto. Na to Amerykanie zgodnym chórem — Bardzo piękne miasto, i dużo bardziej nowoczesne od Rzymu!"

Ten pojedynek więc toczy się wybitnie nierównymi siłami. Po jednej stronie prestiż łatwego zwycięstwa, drapacze chmur Nowego Jorku, potęga pieniądza, rozmach przemysłowy, a po drugiej gotyk francuskich katedr, cuda renesansu, wiekowe złoża artystycznej i intelektualnej kultury, wybujałe aż do ostatnich granic poczucie odpowiedzialności za to, że człowiek różni się od zwierzęcia i duszą i myślą.

Dwa tysiące czterysta czterdzieści lat temu powstało ustawodawstwo Solona, dwa tysiące trzysta czterdzieści osiem lat temu umarł Sokrates. Marsylia powstała około roku 600 przed Chrystusem, zaś w roku 510 Rzym już posiadał swój ustrój rzeczpospolitej. Takie cyfry wystarczą, by przeciętnemu Amerykaninowi, upitemu własną potęgą, wywołać nie tylko zawrót głowy, lecz i uczucie zawiści w stosunku do części świata, posiadającej to, czego za żadne pieniądze dostać nie można. „Europa jest wstrętna, niebezpieczna i godna nienawiści — oto opinia przeciętnego Amerykanina, ujawniona szczerze przez jednego z korespondentów „Esprit". Z niej wywodzą się tylko wojny, które musimy wygrywać nie rozumiejąc nawet o co właściwie chodzi". Europa jest siedliskiem konfliktów ideologicznych, wojen religijnych, rewolucyj, sporów doktrynalnych i światopoglądowych. W mentalności przeciętnego Amerykanina są to akcesoria do życia w ogóle nie przydatne. „Nie ma doktryn rozsądnych", „Amerykanie nie znoszą wszelkiej teologii" — oto hasła charakteryzujące dosadnie amerykańską mentalność i jej przepaść w porównaniu z europejską żywiołowością intelektualną.

Odpłacając się więc za krytykę tak się, w imieniu Europejczyków „Esprit" wyraża o Amerykanach: „Wszelki system intelektualny, wszelkie, tak w istocie wszelkie subtelniejsze rozróżnienia, wszelkie nowe koncepcje napełniają ich wręcz fizycznym obrzydzeniem. Jeśli więc nie ma już żadnego dogmatu w ich religiach (nawet katolickiej), jeśli ich filozofowie są tym, czy są, jeśli ich partie zdolne są do przeciwstawienia się sobie tylko na płaszczyźnie drobnych praktycznych różnic — czyż jest możliwe, by zrozumiałe były dla nich tak barbarzyńskie pojęcia jak — marksizm, socjalizm, komunizm?"

Pojedynek, toczący się między Zachodem a Ameryką tak różnorodnymi broniami jest więc walką o styl człowieka w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Walka o europeizację Ameryki, lub o zamerykanizowanie zachodu Europy. Mieliśmy przed chwilą przed oczyma specymen tych stylów.

Dodajmy jednak od siebie, że jeśli fakt istnienia tego konfliktu rzuca się w oczy każdemu obserwatorowi Zachodu, to nie mniej oczywistym jest fakt, iż środki będące w posiadaniu obu stron nie pozwalają im w żadnym razie tę walkę w sposób ostateczny rozstrzygnąć.

„Maszyna do fabrykowania szczęścia"

Jakub Maritain, w swej prelekcji otwarcia Kongresu Intelektualistów Katolickich w Paryżu wyraził się, że wbrew pozorom — naród amerykański trawiony jest głęboką potrzebą mistycyzmu. Potrzeba ta jednak nie wyraża się, w szczególności w obecnym okresie, żadnymi masowymi ruchami o charakterze kontemplatywnym czy ideologicznie aktywnym. Wyraża się najwyżej w ucieczce w głąb samego siebie w obliczu straszliwego stwierdza, że **„american way of living"** jest zjawiskiem najzupełniej nie odpowiadającym wymaganiom nowych czasów. Idylla była dobra tak długo, jak chłopiec z Kanzas czy z Kalifornii pozostawał pod wyłącznym wpływem swej własnej, rodzimej mentalności. Obserwujemy dziś tego samego człowieka, któremu przyszło reprezentować Nowy, Wspaniały Świat gdzieś, w zapadłej zachodniej Europie. Widzimy tych, rosłych, zdrowych młodych byczków, z uśmiechem na twarzy, dobrych, sumiennych pracowników, poczciwych i dobrodusznych w osobistym życiu kompanów — borykających się ze złożonością i sprzecznościami nagromadzonych przez dwadzieścia pięć stuleci problemów społecznych, narodowościowych, moralnych, kulturalnych, napotykających się w każdym zakątku na inne typy psychologiczne, na tysiące kompleksów, błędów zboczeń, które pod wpływem lat stały się częścią codziennej rzeczywistości.

Proces załamywania się prymitywnej mentalności i prymitywnej, powierzchownej moralności w zetknięciu się z wirem europejskiego zamętu może najlepiej potrafili przedstawić Włosi, których praktyka w obłaskawianiu zbyt pewnych siebie zwycięzców jest niewątpliwie bezkonkurencyjna. Curzio Malaparte, skąd innąd wielce nieciekawa figura, w swych pamiętnikach wojennych potrafił wydobyć na światło dzienne ogrom problemów dzielących kulturę, nawet w stadium największego załamania od cywilizacji — choćby w stadium największego rozkwitu. Roberto Latuada zaś, wybitny reżyser włoski nadał temu samemu zagadnieniu jeszcze drastyczniejszy ton przez pokazanie w swym ostatnim filmie „Bez litości" reakcję zwykłego amerykańskiego murzyna miażdżonego w trybach toczącej się po społeczeństwie włoskim maszyny okupacyjnych porządków, gdy po raz pierwszy spotyka wśród białych te ludzkie odruchy i te wzloty, których nie zaznał w Nowym Świecie.

Europa odkryła już więc, że „maszyna do fabrykowania szczęścia" zawodzi i w jej specyficznych warunkach. Pozostawało tylko odkryć, że to jednak, przeciętna reakcją prasy, nawet poważnej w Europie — była nieukrywana radość, że jednak stara i zdeprawowana Europa nie wygląda w istocie gorzej od tej „lepszej części świata".

„CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA"

Wśród takich okoliczności jest rzeczą zrozumiałą, że w gruncie rzeczy „amerykanizm" trafia i zaszczepia się wyłącznie na najpowierzchowniejszych reakcjach zachodnio-europejskich społeczeństw. Treści istotnej dosięgnąć nie jest w stanie.

By tę prawdę odkryć trzeba zobaczyć to, co Anglicy nazywają **„The dark side of the moon"** — ciemną stronę księżyca, tę część świata amerykańskiego, która nie jest przeznaczona na pokaz, która nie jest wykwitem a tylko rezultatem **„american way of living"**. Dwóch wybitnych katolickich działaczy Dominikanin Ojciec L. J. Lebret, twórca i czołowy pisarz „Economie et Humanisme" oraz sławny organizator J. O. C. — kanonik Cardijn odbyli w latach powojennych, już w okresie największego rozkwitu amerykańskiej potęgi, podróż badawczą po krajach Ameryki Południowej.

Ruiny miasta Caen, zniszczonego podczas inwazji w roku 1944.

Amerykański **„ubrermensch"** nie wyrósł w istocie ponad ludzką miarę. Europę trawi swoisty kompleks własnej psychicznej i fizycznej degeneracji. Niemiecki mit **„nordyka"** nie był wyłącznym tworem chorego umysłu Rosemberga. Był reakcją na płynący z zachodu biologiczny i psychologiczny kompleks niższości. Rasizm był wprawdzie lekarstwem - narkotykiem tylko dla Niemców, lecz, wydaje się, że w istocie znalazł on sobie ciche poparcie u wielu zaniepokojonych swym stanem wewnętrznym grup społecznych zachodu. Gdy mit ten runął — wypłynął na jego miejsce mit potężnego jankesa.

Ciekawa była reakcja na ogłoszony niedawno na zachodzie t. zw. raport Kinseya. Lekarz - psycholog amerykański zatroszczył się o zbadanie 12.000 amerykańskich obywateli, by przy pomocy zadanych od 300 do 500 pytań zbadać jego seksualność pod wszelkimi możliwymi aspektami. Rezultatem było odkrycie, że to zdrowe, nowoczesne i wychowywane bez przesądów społeczeństwo — należy do najbardziej zakompleksionych, do najbardziej niemoralnych w tej dziedzinie. Spośród niezmiernie obfitego i drastycznego materiału, zacytowanego przez dr Kinseya warto uprzytomnić sobie, że w Stanach Zjednoczonych 22% dzieci w wieku lat 15 żyje już seksualnie czynnie, homoseksualizm dotyczy 37% ludności, zaś chroniczna masturbacja cechuje 92% ludności męskiej.

Jeśli dane te, posiadające wszelkie cechy prawdziwości, obiektywnie zasmucają każdego normalnego człowieka, rozumiejącego bagno moralne, które się za tymi cyframi kryje,

„Nie można uczynić kroku w Ameryce Południowej, pisze O. Lebret, by nie napotkać się tam z problematyką Ameryki Północnej: wielkie ankiety społeczne i ekonomiczne, prowadzone są przez Amerykanów z Północy, bogactwa naturalne mogą być skutecznie eksploatowane tylko dzięki interwencji kapitałów północno-amerykańskich, wielkie linie lotnicze, zresztą wspaniałe, są własnością USA, lub pod ich kontrolą... Cywilizacja południowo-amerykańska wzoruje się, o tyle o ile to możliwe, na cywilizacji północno-amerykańskiej".

Stwierdzając pełną odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych, tak moralną, jak i materialną, za rozwój Ameryki Południowej O. Lebret nie odmawia przy tym ani swego podziwu ani pochwały osiągnięciom USA.

„Byłoby nierozsądnie i niesprawiedliwie — nie uznać i nie pochwalić wspaniałego wysiłku cywilizacyjnego, dokonanego przez te narody (USA) w awangardzie nauk experymentalnych i postępu technicznego".

Mimo tego obiektywizmu — namalowany przez niego obraz nędzy południowo - amerykańskiej jest straszliwy. —„To jakby przemarsz więźniów z Buchenwaldu!" mówi on o wyjściu robotników z fabryk produktów chemicznych w Sao Paolo. Odżywienie ich wynosi najwyżej 60% potrzeb kalorycznych normalnego człowieka. „Trzeba, pisze on, zobaczyć przybycie do Sao Paolo ludności z Północy, wypędzonej głodem, przejechać się po głównych ośrodkach robotniczych Santiago czy Chile, by przekonać się jak daleko dojść może ludzka nędza".

„Właściciele ziemscy, bogaci przemysłowcy uprzywilejowani dygnitarze, prowadzą tryb życia nieznany nam nawet w starej Europie, podczas gdy w dołach, ludność wegetuje w nędzy i w niepewności jutra".

Kanonik Cardijn widzi rzeczywistość południowo - amerykańską tymi samymi oczyma:

„Uprzemysłowienie posuwa się krokami olbrzyma w tych krajach. Ludność wychodzi z sierry i jest natychmiast uchwycona w tryby tej maszyny. Rezultat: nowa społeczność — proletariat przemysłowy, który zresztą nie wymazuje istnienia proletariatu wiejskiego. Trzeba osobiście zobaczyć ostateczną nędzę tego proletariatu, żyjącego w okropnych „favelas" norach, zbudowanych z blachy, ze smołowanego kartonu i z drzewa, które rozciągają się wstydliwie na górskich zboczach i które kryją w sobie 300.000 robotników i ich rodzin, w stanie pół-zwierzęcym.

Okolice kontrastu nędzy i najwyższego dobrobytu.

Tu nie ma szkół dla tych, którzy nie mają pieniędzy. Zakony mają wprawdzie gimnazja i sławne uniwersytety, jak te z Santiago czy Lima, ale są one zarezerwowane dla bogaczy. Te problemy witalne wymagają natychmiastowych rozwiązań".

Nic dziwnego, że śledząc tragiczne losy Południowej Ameryki, zaniepokojona Zachodnia Europa stawia sobie pytanie — czy ją nie czeka los podobny w ramach błogosławionego „nowego ładu" prezydenta Trumana?

PAX AMERICANA

O. Lebret stwierdza:

„Społeczność ludzka nie może istnieć, jeśli nie nastąpi wspólnota niektórych dóbr produkcyjnych i konsumpcyjnych. Otóż schemat kapitalistyczny, od którego Północni Amerykanie absolutnie nie chcą odstąpić na tę wspólnotę nie pozwala. Kapitalizm inwestuje dla własnego zysku a nie dla potrzeb świata. Tylko jego zysk ma znaczenie. „Pax americana", oparta na zasadzie **two ways trade"** (Handel dwustronny), wymaga istnienia narodów bogatych i wypłacalnych. Takich dziś nie ma. Równowaga może być uzyskana tylko dzięki amerykańskim inwestycjom. Znaczy to, że narody oddadzą Północnym Amerykanom eksploatację swych bogactw narodowych tak jak i własnej siły roboczej."

Wizja amerykańska staje się w ten sposób wizją imperialistyczną, prowadzącą do przeobrażenia się poszczególnych narodów w ludy kolonialne, lub pół-kolonialne. Ale co się stanie wówczas z ich wolnością? A niedługo potem — cóż się stanie z ich niepodległością?"

Ten przyjaciel Stanów Zjednoczonych zmuszony jest stwierdzić ze smutkiem, że **„business-meni"**, którzy rządzą w Stanach Zjednoczonych nie chcą się nawet zastanowić nad tym, czy nie należałoby zająć się reformą własnego kapitalistycznego ustroju" — stąd też wniosek ostateczny:

„Stany Zjednoczone" nie powinny już myśleć kategoriami własnych interesów, lecz światowych. Wydaje się, że nie są jeszcze na to gotowe. Myśleć kategoriami światowymi wymagałoby bowiem całkowitej zmiany amerykańskiej wizji. Ta jest dziś niewątpliwie wizją niedopasowaną ani do rzeczywistej sytuacji świata, ani do dążeń poszczególnych narodów".

Dotarliśmy do podstaw t. zw. planu Marshalla. Lansowany jako wielkoduszna koncepcja wybawienia gospodarczego Europy dzięki ofiarności Ameryki — jest on obiektem głównej troski bardziej krytycznych i bardziej obiektywnych myślicieli i działaczy Zachodu. Krytyki ich toną coprawda w oportuniźmie mas mieszczańskich, które, przekonane o końcu roli Europy, wolą przyjmować dary, zamykając oczy na koszta, niż ponosić konsekwencje świadomie wszczętej walki z imperializmem zza oceanu.

Zgodnie z charakterystyką ogólną polityki amerykańskiej danej przez O. Lebreta — plan Marshalla dąży konsekwentnie do osiągnięcia trzech celów praktycznych — zlikwidować w Europie te gałęzie przemysłu, które mogą się stać niebezpieczne dla Ameryki, w szczególności ciężki i średni przemysł Francji i Holandii, rozwinąć natomiast produkcję rzadkich na rynkach światowych surowców czy pół-fabrykatów, z uprzywilejowaniem na tym odcinku przemysłu niemieckiego, łatwiejszego do opanowania dla amerykańskiego kapitału, wreszcie — osiągnąć całkowite otwarcie rynków zbytu europejskich dla produktów amerykańskich i skanalizowanie produkcji zgodnie z interesami Stanów Zjednoczonych.

Oportunizm materialny znacznej większości środowisk mieszczańskich jest tak znaczny, że za cenę spłynięcia na nich cząstki amerykańskiego dobrobytu skłonny byłby, mimo głosów ostrzegawczych, przyjąć wytyczne planu Marshalla. Największym jednak hamulcem, przed nadmierną uległością planom amerykańskim, bodźcem najsilniej działającym na przeciętną postawę tamtejszej opinii publicznej — jest widmo wojny majaczące się u kresu imperialistycznych celów polityki amerykańskiej.

BEZWZGLĘDNA WOLA POKOJU

Gdy propaganda amerykańska, przeznaczona dla krajów Europy Wschodniej sugeruje codzień ewentualność interwencyjnej agresji Stanów Zjednoczonych, to Zachód znajduje się poddany wręcz odwrotnej argumentacji: grozi wam agresja ze wschodu. Trzeba jednak stwierdzić, że znaczna większość opinii publicznej w tę agresję w rzeczywistości nie wierzy. Jeśli zaś niektóre koła dają się zasugerować tymi groźbami, to reakcją na to nie jest bynajmniej wzrost nastrojów wojennych Zachodu, przeciwnie, wzrasta nastrój lękliwości, bezsiły, kapitulanctwa. Patrząc się realnie na społeczeństwa zachodnio-europejskie trzeba stwierdzić dobitnie — nie są one w najmniejszej mierze skłonne do udziału w jakiejkolwiek interwencyjnej aferze. Stąd podejrzliwość w stosunku do wszystkiego, co wydaje się prowokować, ba nawet pośrednio wywoływać widmo zbrojnego konfliktu.

W odpowiedzi na ankietę „Témoignage Chrètien — 75% Francuzów oświadczyło się przeciw jakiejkolwiek czynniejszej roli Francji w życiu międzynarodowym. Tylko 30% wypowiedziało się bez wahania po stronie paktu Atlantyckiego, jako czynnika pokoju. Natomiast tylko 9% zapytanych uznało realność wojennych perspektyw w najbliższym czasie, 91% stwierdzając, że wojna jest absolutnie nierealna kierowało się niewątpliwie mniej obiektywną oceną amerykańskich intencji, ile własnymi „pia desideria" przeniesionymi na płaszczyznę statystyki. Cyfra ta powinna jednak zastanowić niejednego Polaka, z zapałem słuchającego płynących zza oceanu wojowniczych deklaracyj.

Jeśli możemy mieć wątpliwości, czy cena suwerenności gospodarczej lub politycznej wzamian za pomoc amerykańską nie może być uznana za dopuszczalną przez ważniejsze środowiska mieszczańskie we Francji, to jednak musimy nabrać zdecydowanego przekonania, że idące zaraz za nią żądanie sprzedania swej krwi — napotyka się w całym społeczeństwie francuskim, bez różnicy przekonań, czy pozycji społecznych — z bezwzględną ostateczną odmową.

Charakterystycznym tego zjawiskiem jest żywiołowy rozrost manifestacyjnego odmawiania podstaw moralnych przymusu służby wojskowej. Problem **„obiecteurs de conscience"** zajmuje codziennie szpalty prasy, umysły prawników, a w szczególności duchowieństwa wszelkich wyznań. Moreau, Scheonauer, Vincent, Bugany, to nazwiska ludzi z głośnych procesów o odmówienie służby w wojsku. Pastor Roser, ks. Depierre czy Ojciec de Soras, tak jak cała prasa wyznaniowa, poświęcają tym zagadnieniom jak najwięcej uwagi i wysiłku. Bunt przeciw perspektywie wojny jest najmocniejszym zjawiskiem społecznym we francuskim życiu publicznym.

***

Wśród tylu więc sprzecznych konfliktów, wśród wyostrzonych instynktem zachowawczym narodów krytyk — wikła się w Europie zachodniej i prestiż i autorytet amerykański. Ludzie z Nowego Świata, przebiegający dziś zapamiętale Europę zachodnią W olbrzymiej większości nieświadomi są oni ani własnej rzeczywistości, ani otaczającego ich świata, a tym bardziej tęsknot ludzi urodzonych w innym historycznym klimacie. Stany Zjednoczone, ze swymi nagromadzonymi bogactwami, ze swym niebywałym potencjałem gospodarczym mógłby dziś stać się niewątpliwie potężnym czynnikiem ładu i pokoju na świecie. Musiały by jednak, jak to sugeruje im O. Lebret, zmienić od nowa swą wizję świata i swój własny ustrój.

Przypomina się piękna alegoria współczesnego francuskiego pisarza Piotra Seghersa —

„Człowiek, zwany Smith, uważał się za właściciela wszystkich kopalń świata. Ale, ponieważ kopalń wówczas jeszcze nie wynaleziono, błądził po świecie w ich poszukiwaniu. Pewnego dnia powiedział sobie, że może złoto będzie rosnąć tak jak zboże; począł więc siać wymyślony przez siebie proszek, rodzaj sztucznego nawozu, zrobionego przez niego z kurzu Wall-Street. Jednak na olbrzymich obszarach tak przez niego „obsianych" — nic prócz chwastów nie wzrosło.

„Gotów był zniszczyć cały świat, kopiąc coraz to głębiej piasek Wall-Street, i rozsiewając coraz to dalej swe nasiona. Aż pewnego dnia, zraniwszy się przypadkiem w rękę, zauważył jak kropla krwi upadła na ziemię — i zakwitła.

„Wówczas zaczął myśleć"!

Wydaje się, że świat amerykański nie zauważył jeszcze jak zakwitają prawdziwe kwiaty, i że jeszcze w dalszym ciągu próbuje siać po świecie piasek z Wall-Street. Jeszcze nie nastąpił ten wstrząs wewnętrzny, któryby go zmusił do myślenia.

Wojciech Kętrzyński.

Kosym okiem

Plakat i jego rola

Ot, taki sobie mały temacik. Cóż tu można napisać? Ano, można napisać, że po pierwsze temacik jest aktualny, bo plakatów nam nie brakuje

Właściwie, czy celem plakatu jest zdobienie? Raczej środkiem niż celem. Plakat nie tylko zdobi, ale informuje i zachęca. Czyli jakbyśmy mogli powiedzieć: propaguje. Współgranie tych trzech czynników, to w pełni wykonane zadanie plakatu.

Zadanie zadowolenia estetycznego może plakat realizować najlepiej ze wszystkich dzieł sztuki z punktu widzenia swej powszechności. Pomaga nam tu technika. Powielanie plakatu, w przeciwieństwie do innych form grafiki, jak drzeworytu, czy miedziorytu, może być przeprowadzone teoretycznie w ilości nieograniczonej.

Ma jednak plakat i swe ujemne strony. Otóż to, że się niszczy, że po tygodniu obwieszone plakatami miasto wygląda śmietnikowato, a strzępy papierów zwisające ze ścian, murów i płotów, narzucają swym wyglądem coś z atmosfery bałaganu i niechlujności.

Inna rzecz, że z plakatem trzeba się umieć obchodzić, jako z wytworem sztuki. Zasada: im więcej tym lepiej, którą u nas stosuje się w „polityce plakatowej" prowadzi do absurdów. Widzimy niejednokrotnie domy, czy place, gdzie plakaty nalepione są obok siebie jak znaczki pocztowe w arkuszu, lub też w odstępach pól, — czy jednometrowych. Natłok plakatów stwarza atmosferę przeładowania, sztancy i nudy. Plakaty nie mogą wisieć gęsto — oto zasadnicza uwaga jaka nasuwa się w tych rozważaniach. Muszą być rozlepione w dużych odstępach. Wtedy spełniają najlepiej swoje zadanie.

Zwróćmy uwagę na to w jaki sposób plakat trafia do odbiorcy. O ile obraz, naprzykład, **przychodzi** się oglądać i studiuje się go nieraz godzinami, to plakaty nigdy nie **przychodzi** się oglądać (chyba na wystawie plakatów). Plakat winien rzucać się w oczy sam przez się. Obdarzamy go spojrzeniem i zwykle nie zatrzymujemy się przy nim, lecz idziemy dalej, swoją drogą. Zaobserwowaliśmy jakiś szczegół. Po kilkudziesięciu krokach znów ten sam plakat. Chwytamy w nim nowy szczegół i tak oglądamy go, rzec można, w przelocie. Plakat odseparowany dużą odległością od swego bliźniaka daje obserwatorowi konieczną pauzę, która jest dlań jakgdyby izolatorem przed wrażeniem natłoku i zglajchszaltowania. Plakat, przy którego rozmieszczeniu kierowano się wzmiankowanymi wytycznymi nie sprawia wrażenia jakiejś pseudo-artystycznej masówki, ale normalnego tworu grafiki, do którego można śmiało podchodzić jak do dzieła sztuki.

Niestety sprawa ta jest zupełnie obca tym, którzy trudnią się rozklejaniem plakatów, a o takiej rzeczy jak umieszczenie plakatu wśród odpowiedniego tła nie ma w praktyce co marzyć. Bez wątpienia rozklejacz plakatów kieruje się zasadą: aby szybciej i do domu! Ale traci na tym odbiorca, traci na tym plakat i traci na tym miasto, które po kilku dniach wygląda jak wielka drukarnia przed którą walają się ścinki papierów.

W rozlepianiu plakatów czyni się jeszcze jeden zasadniczy błąd. Miesza się plakat z ogłoszeniami. Absurd i ohyda! Pierwszą i zasadniczą kwestią w rehabilitacji pozycji plakatu jest ścisła separacja od ogłoszeń. Osobne słupy na ogłoszenia i oddzielne stoiska, czy tablice na plakaty! O ile możliwe tablica taka powinna posiadać szybę. Gdybyśmy, przykładowo rzecz biorąc, ustawili na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie dwadzieścia — dwadzieścia pięć stoisk plakatowych, czy tablic, by loby to zupełnie wystarczające jak na tę ruchliwą arterię.

Natłok jest nie tylko wrogiem sztuki, ale i propagandy. W tłoku przestaje się rozróżniać, dostrzegać i wszystko zlewa się w jedną bezkształtną masę. Masa taka nuży i gubi się w niej wszystko.

Plakat jako informator — oto drugie zadanie plakatu ważne i pożyteczne. Zaoszczędza on pracy, tłumaczenia i wyjaśnienia. Wyręcza w ten sposób w pracy dziesiątki ludzi. Ale i tu jest niebezpieczeństwo. Plakat ze zbyt dużym balastem informacyjnym staje się ogłoszeniem. Nie można nie brać tego pod uwagę i jeśli pragniemy podać większą ilość informacji, trzeba je podać na odrębnych i różnych plakatach. Koszt większy, ale i pożytek również. W nowoczesnym mieście plakat musi być wkomponowany w jego tło. Nie powinien szpecić. Plakat musi być nowym składnikiem i wyrazem umasowionej sztuki.

Wreszcie efekt propagandowy. Zależy w dominującej mierze od powiązania efektu artystycznego z informacyjnym. Jest wynikiem syntezy dwóch poprzednich. Dlatego też instytucje, czy zespoły zamawiające plakat winny pamiętać, że przesadna oszczędność w szacie graficznej, czy przesadny tłok w stronie informacyjnej podcina wartość oddziaływującą plakatu. Nie podcina jej natomiast stosunkowo nie wielki nakład.

Tylko, że tu znów wyrasta inna sprawa, a mianowicie pokusa: im plakatów więcej, tym są one tańsze. Dlatego zapewne chorujemy dziś na ostrą gorączkę plakatową, która stwarza nad miastem piętno plakatowej wysypki. Leczmy się co prędzej, bo można. Koszt i trud niewielki, a pożytek spory.

Zuk.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

Tadeusz Mazowiecki

BŁĘDY NA TRUDNEJ DRODZE

Przypominanie, że żyjemy w okresie wielkich przemian społecznych — ma dziś już posmak truizmu. Pisze się przecież o tym wiele, a rzeczywistość społeczna na każdym kroku narzuca naszym oczom takie przekonanie. Niemniej warto do tego przypomnienia wracać szczególnie wówczas, gdy się chce spojrzeć na zespół zagadnień współczesnych w szerszej perspektywie. Spojrzenie takie jest konieczne wtedy gdy wynika potrzeba zastanowienia się nad własną postawą czy to jednostki, czy zespołu, czy nawet szerzej całego ruchu społecznego. W oparciu o szerokość horyzontów myślowych widzimy wtedy lepiej własne zadania, wyraźniej dostrzegamy ciężar obowiązków i mniej skłonni jesteśmy do powierzchownych uproszczeń.

Wielkość przemian druzgocących dotychczasowe pojęcia zmuszając do gruntownego ich przewartościowania wprowadziła niewątpliwie chaos i zamieszanie. Z trudem przezeń przebija się myśl nowa z trudem porządkuje stare, wartościowe prawdy nadając im nowy, historyczny wyraz naszej epoki.

Katolicy stoją w obliczu nowych przemian pełni siły wynikającej z posiadania Prawdy i pełni słabości wynikających z własnych błędów. W nowych historycznie warunkach codzienna realizacja Królestwa Bożego na ziemi — w płaszczyźnie nie tylko jednostkowej, lecz społecznej — wydaje się jednym niemożliwością, drugim trudnym i skomplikowanym zadaniem, któremu sprzeniewierzenie się jest sprzeniewierzeniem się Boskiemu nakazowi. Pierwsi skłonni są więc strusią metodą chowania głowy w piasek nie widzieć w ogóle rzeczywistości, drudzy zaś widzą trudności, ale mają wewnętrzną wolę je przezwyciężać. Istnieje też i trzecia postawa, zazwyczaj oscylująca między pierwszą, a drugą, postawa wyrażająca „zawrót głowy" od dokonanych przemian, pełna sprzeczności i braku odwagi do wyciągnięcia ostatecznych konsekwencji.

Oczywiście przeprowadzona tu klasyfikacja napewno jest niepełna i napewno grzeszy uproszczeniem. Takie uproszczenie ma jednak o tyle sens, że ułatwia nam zastanowienie się nad własną postawą i zaszeregowanie się do którejś z tych kategorii.

Problem nie zamyka się jednak tylko w przyjęciu postawy, nie dotyczy tylko intelektualnego jej ujęcia. Temu kto w wielkich przemianach dostrzega tylko bezsens, bezkierunkowość i tymczasowość — temu opadają ręce i nie widzi on niczego poza czekaniem na interwencję czynnika pozanaturalnego, lub czasem prościej na interwencję sił „starego świata" przeciwnych dokonanym i dokonywującym się przemianom. Ten jednak komu niedoskonałość tych przemian nie przesłaniają ich wielkich wartości, kto widzi i rozumie ich historyczny sens i celowość, więcej — ich konieczność, ten jeśli jest katolikiem zastanawia się jak pracować nad tym by nowe formy współżycia społecznego naniesione przez te przemiany wiązać z ponadczasową Prawdą wyznawanej przez siebie wiary. Przedmiotem jego przemyśleń i decyzji staje się więc problem zadań. Problem ten ważny w skali jednostkowej jest w skali społecznego ruchu katolickiego zagadnieniem pierwszoplanowym.

***

Tym to stwierdzeniem chcemy nawiązać do artykułu Karola Zajczniewskiego („**Zadanie numer jeden" z ostatniej wkładki „Etap" w „Dziś i Jutro")** [nr 46 (208)].

Zajczniewski należy do tych, którzy rozumieją przemiany i chcą w nowym historycznie układzie społecznym realizować naukę Ewangelii. Walka ta jest dla niego, tak jak dla innych, zadaniem trudnym i dlatego stawia przed wszystkimi, którzy myślą i czują podobnie, problem hierarchii poszczególnych zadań.

Naszym zdaniem problematyka ta została przez autora „Zadania numer jeden" potraktowana mylnie. Artykułem tym chcemy wyrazić nasze stanowisko.

Można jednak bez przesady stwierdzić, że artykuł Zajczniewskiego dotknął jednego z najbardziej dla katolików centralnych zagadnień współczesnych. Z tego też powodu chcemy postulaty autora „Zadania numer jeden" przemyśleć krytycznie, przenosząc dyskusję na płaszczyznę szerszą, nie ograniczając problemu tylko do postawy formułowanej szeregiem artykułów wkładki „Etap".

Nim jednak przejdziemy do meritum sprawy trzeba uczynić kilka zastrzeżeń.

Zajczniewski w swym artykule ostro zaatakował postawę wielu młodych katolików chorujących na przerosty aktywizmu — na hurraaktywizm. Będziemy o tym mówić dalej szczegółowo. Teraz już jednak trzeba uprzedzić, że artykuł niniejszy wyrażając odmienny punkt widzenia nie jest bynajmniej obroną hurraaktywizmu. Podobnie jak Zajczniewski jesteśmy przekonani o niesłuszności takiej postawy, choć inną jej przeciwstawiamy. Trzeba też odrazu zaznaczyć, że równie jak autor „Zadania numer jeden" doceniamy potrzebę pracy teoretycznej i jej znaczenie w całokształcie zadań katolickiego ruchu społecznego.

Zastrzeżenia te podajemy z góry dla uniknięcia nieporozumień, od których się zawsze roi we wszelkich polemikach i słownych utarczkach na terenie naszej publicystyki. Widząc zasadnicze zastrzeżenia w stosunku do rozumowania Zajczniewskiego i wyrażając w tym względzie nasze przekonania, mamy świadomość, że nie chodzi tu o sprawy błahe i nieistotne, dalekie i abstrakcyjne, lecz o problematykę bardzo konkretną i bardzo życiową. Więcej — wiemy, że chodzi tu o problematykę, w której rozumieniu dużo jest niedomówień i niejasności odbijających się nieraz bardzo niekorzystnie na pracy i zrozumieniu postawy ośrodków katolickich. Dlatego też podchodzimy do poruszonych tu zagadnień z całym umiarem i spokojem. I o takie też podejście chcemy prosić Czytelnika.

***

„Przełożyć wieczną i niezmienną naukę Chrystusa na język nowych czasów tak jednak by nic z niej w tym przekładzie nie uronić, dokonać wielkiej syntezy ideałów nadchodzącej epoki z nadprzyrodzonym powołaniem człowieka — oto ogromne zadania katolików nad które nie widzimy dziś ważniejszych". Tak to, i niewątpliwie słusznie precyzuje Zajczniewski centralne zadanie. Słusznie, pod warunkiem opatrzenia go komentarzem — (jak to czyni Zajczniewski), że nie chodzi tylko „o teoretyczne zadanie wypracowania doktryny, ale i zadanie praktyczne zaszczepienia jej w umysłowości mas katolickich". Nazywa to rekonstrukcją światopoglądu, odróżniając światopogląd od doktryny która „jest systemem oderwanym i staje się światopoglądem człowieka gdy opanuje jego umysłowość".

Podkreśliliśmy słuszność w sprecyzowaniu centralnego zadania. Dalsze jednak uwagi Zajczniewskiego dotyczące powstawania doktryny i jej przemieniania się w światopogląd człowieka upoważniają nas do stwierdzenia, że właśnie w ujmowaniu tego zagadnienia leży źródło błędu, który zaciążył na całym rozumowaniu autora i jego wnioskach.

Nakreślmy najpierw co uważamy za błąd. Polega on na ustawieniu problemu w sztucznej płaszczyźnie. Zajczniewski ostro potępiając przerosty aktywizmu — hurraaktywizm przeciwstawił mu wręcz przeciwną skrajność — odwrót do pracy teoretycznej. Sztuczność tej płaszczyzny rozumowania polega na tym, że dokonuje się za jednym zamachem szeregu uproszczeń widząc tylko dwie skrajności. Zestawienie takie jest też mylące dla czytelnika gdyż zaadresowany przeciw hurraktywistom zarzut może być rozumiany jako zarzut przeciwko działalności praktycznej w ogóle.

Błąd rozumowania Zajczniewskiego wynika z niedostatecznego uwzględnienia ścisłej współzależności jaka istnieje pomiędzy działalnością praktyczną, a pracą teoretyczną. W ten sposób stwarza się sugestię, że może istnieć jedna bez drugiej.

Mówiąc o zadaniach stojących przed postępowym ruchem społecznym katolików niezbędne jest dokonanie ścisłych precyzji pojęciowych ułatwiających nam rozumowanie. Słowo „zadania" jest w tym wypadku pojęciem względnym. Aby uniknąć jego wieloznaczności i płynących stąd nieporozumień lepiej jest zdecydować się na jednobrzmiącą jego treść. Dlatego sądzimy, że słusznym jest mówić tylko o jednym zadaniu. **Jest nim dla katolickiego ruchu społecznego realizowanie nakazów Ewangelii w nowych warunkach historycznych według form, które te warunki narzucają, lecz absolutnie zgodne z niezmiennymi normami etyki i niezmiennymi i ponadczasowymi prawdami wiary.** To jest właśnie to zadanie centralne o którym pisał Zajczniewski. Jest ono jedynym zadaniem katolickiego ruchu społecznego. W jego natomiast obrębie można przeprowadzić tylko podział ról, podział pracy na teoretyczną i praktyczną i to pod warunkiem zachowania ścisłej współzależności między jedną, a drugą.

Może ktoś powiedzieć, że podział zadań czy podział ról, to są tylko różnice werbalne. Być może w słowniku tak. Tu jednak istnieje faktyczna różnica między tymi pojęciami. Wielość zadań zakłada realizowanie ich kolejno, etapami — i tak właśnie to ujmuje Zajczniewski, który wbrew temu, że pisze o hierarchii zadań ujmuje nie tylko ich hierarchię, ale i kolejność w czasie, faktycznie bowiem odkłada w swych założeniach działalność praktyczną do chwili gdy dokonane zostanie gros prac teoretycznych. Podział ról zakłada natomiast istnienie jednego zadania i jednoczesną jego realizację zarówno poprzez wypracowywanie doktryny jak i działalność praktyczną nie usuwając właściwego ułożenia ich hierarchii i wzajemnej współzależności.

***

Powiedzieliśmy, że źródło błędu tkwi w nietrafnym ujmowaniu powstawania doktryny i jej przemieniania się w światopogląd człowieka. Mechanizmu powstawania doktryny Zajczniewski szczegółowo nie omawia, niemniej jednak z ujęcia tego problemu uderza sugestia, że widzi go wyłącznie w płaszczyźnie teoretycznej, nie dostrzegając tak ścisłego oddziaływania na siebie obu tych elementów.

Nie chcemy upraszczać zagadnienia. Wiemy dobrze, że zadanie, które stoi przed katolikami jest trudne i złożone. I chyba nie będzie to nadużyciem słów, jest zadaniem na miarę historyczną. Jest to zadanie budowy nowej współczesnej kultury. Kultury społecznego współżycia. Kulturę tą chcemy budować na trwałych i niezmiennych zasadach nauki Chrystusa. Wiemy jednak dobrze, że to co określamy mianem współczesności kryje w sobie tyle skomplikowanych problemów, tyle powikłań, że budowa nowej kultury i kształtowania nowego światopoglądu katolików jest zadaniem niezwykle trudnym.

I wiemy też, że budowa doktryny, która by łączyła i syntetyzowała ideały wiecznej nauki Chrystusa z potrzebami współczesności jest wielką koniecznością. Ale rozumiejąc to, zastanówmy się nad mechanizmem powstawania tej doktryny i jej oddziaływanie na światopogląd człowieka.

Doktryna nie tworzy się w abstrakcji, nie powstaje w umysłach teoretyków jak deus ex machina, ale rodzi się z przemyślenia i przeżycia potrzeb i problemów rzeczywistości. Rodzi się ze zrozumienia i czynnego uczestniczenia w rzeczywistości.

Utrzymując przeprowadzenie przez K. Zajczniewskiego rozróżnienia doktryny i światopoglądu, z których pierwsza jest oderwanym systemem, drugi zaś „faktycznym, uwarunkowanym historycznie sposobem pojmowania przez katolika jego prawdy religijnej — trzeba powiedzieć, **że uchwycenie momentu i mechanizmu przemiany doktryny w światopogląd jest w praktyce prawie że niemożliwe.** Więcej trzeba stwierdzić wielką współzależność obu tych elementów i to zarówno jeśli chodzi o proces tworzenia doktryny, który jest uzależniony przecież od aktualnego stanu światopoglądu jego twórcy czy twórców, jak i wówczas gdy następuje jej upowszechnienie w umysłowości mas. Istnieje ciągły proces oddziaływania wzajemnego doktryny i światopoglądu. Procesu tego nie da się rozgraniczyć w czasie i podzielić na etap wykształcenia doktryny i etap jej oddziaływania.

***

Porządkowanie pojęć i budowanie syntezy jest rzeczą konieczną. Jednakże nie upraszczajmy świadomie zagadnienia. Wielkie syntezy, w rodzaju Summy św. Tomasza pojawiają się rzadko i są wynikiem pracy nie tylko ich genialnych autorów, ale pracy całych pokoleń. Pracy nie tylko intelektualnej lecz i praktycznej.

Posłuchajmy co na temat tworzenia syntezy mówi Gilson w swej wypowiedzi na kongresie intelektualistów katolickich w Paryżu — „Nie jest rzeczą niemożliwą, aby jakiś umysł ujawnił się w naszych czasach lub za lat dwieście czy trzysta, dla dokonania nowej chrześcijańskiej syntezy filozoficznej i zapewne teologicznej. Nie poddajmy się jednak złudzeniu optycznemu, które nas skłania do zestawiania obok siebie św. Tomasza i św. Agustyna we wspólnej zamierzchłej przeszłości, gdy dzieli ich dziewięć wieków, a nas od św. Tomasza tylko siedem. Bądźmy więc cierpliwi jeszcze te dwa wieki nim otrzymamy, jeśli Bóg zechce nam go dać, tego nowego geniusza, który da nam stare wieczne prawdy w takiej formie, że wydadzą nam się nowe i olśniewające".

Przytaczając tu wypowiedź Gilsona nie chcemy mówić o niemożliwości dokonania syntezy. Złudzenie optyczne, o których trafnie mówi Gilson, powoduje nas również i do tego, że skłonni jesteśmy nie widzieć, że synteza, której pragniemy jest podsumowaniem dorobku pokoleń. Dorobku nie tylko teoretycznego lecz i praktycznego. Wielka bowiem praca myślicieli porządkujących pojęcia odbywa się w stałej i ścisłej zależności od działania praktycznego. Byłoby zaś jawnym nonsensem odkładać działalność praktyczną do czasu, gdy synteza zostanie dokonana. Więcej synteza taka, gdyby została w takich warunkach dokonana, nie byłaby aktualną. Stworzona bowiem w oderwaniu od udziału w rzeczywistości dawno zostałaby wyprzedzona przez życie, gromadzące nowe fakty i nowe problemy do rozwiązania. Dlatego trzebaby zapytać K. Zajczniewskiego, przypominając mu zdanie Gilsona, co mieli robić katolicy w tym okresie dziewięciu wieków między Augustynem, a Tomaszem. Czekać z działaniem praktycznym na syntezę?

Dlatego nie poddajmy się skrajnościom, ale starajmy się o uzyskanie pełnej harmonii w naszym działaniu. Z tych to względów stawiamy mocno i stanowczo tezę **o nierozdzielności działania praktycznego i prac doktrynalno - teoretycznych.** Stanowisko nasze płynie z jednej strony z przekonania, że rozdział taki praktycznie nie istnieje lub może istnieć mógłby jedynie w warunkach laboratoryjnego odcięcia od rzeczywistości. Sądzimy bowiem, że mimo całego chaosu cechującego współczesność mimo powolnego i złożonego procesu porządkowania problematyki przez twórczą i zapładniającą myśl teoretyczną, oddziaływanie tworzącej się doktryny społecznego ruchu katolickiego na światopogląd katolików, jest ciągle dziejącym się faktem. Nie łudźmy się, że to oddziaływanie zawsze jest trafne, tak jak nie łudzimy się co do absolutnej doskonałości formułowanych przemyśleń. Nie wierzymy jednak w możliwość powstawania prawdziwie wielkiej ideologii w odcięciu od rzeczywistości.

Z drugiej strony stanowisko nasze wynika z głębokiego przekonania, że sprawie katolickiej nie można dziś, ani nigdy służyć wyłącznie teorią

(Dokończenie na str. 12)

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet Lubelski

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA

KOŁO przed nim obracało się szybko, migając szarą powierzchnią, niby strumień wody; ciemna smołowa plama na boku opony przelatywała raz po raz. Na twardej ścieżce gumy roweru syczały; pedały same podbijały stopy, a gdy się temu uderzeniu opierał, wydawały niecierpliwy chrzęst. Lubił tak jechać szybko, mając z prawa ścianę lasu, przez którą przebijał się blask słońca, jak przez gęstą siatkę mostu lub — jeszcze lepiej — jak przez przerwy między wagonami, mijającego nas pociągu. Z lewej strony ciągnęła się zryta kołami wozów droga, za nią pola, rżyska, szare, bez wdzięku łączki, porośnięte tu i tam krzakami; dalej — już przy znaczonej linią słupów telegraficznych szosie — widać było pojedyńcze, rozproszone domki, ustawione do siebie wzajem to tyłem, to bokiem, jakby się na siebie gniewały. Niejaskrawe słońce gładziło łączki miękkim dotknięciem uczucia, które wiek pozbawił namiętności. Białe pasemko babiego lata uczepiło się kierownicy a potem przylepiło do rękawa. Ścieżka na podkładzie korzeni kryła wzgórki i małe, zdradliwe zagłębienia, na których rower podskakiwał gwałtownie. Ale on lubił także to nagłe uczucie wylatywania w powietrze. Naciskiem stopy przyśpieszał jazdę. Najechana szyszka uderzała o błotnik — i odlatywała w bok. Czasami dróżkę przesłaniał rozrośnięty krzak darniny, czasami sterczał korzeń. Wtedy pewną ręką skręcał kierownicę, przeprowadzał rower jakimś wąskim pasemkiem ścieżki, tuż nad rowem. Znowu przyśpieszał. Ale kiedy uświadomił sobie, że wjeżdża na ostatni kilkudziesięciometrowy odcinek, nie zawierający już żadnych trudności, powstrzymał rozpędzone pedały.

Były w nim w tej chwili dwa różne uczucia: jedno kazało jechać szybko, być jak najprędzej w domu; drugie — odwrotnie — zachęcało do jazdy bez końca. Gdy mijał przed kilkoma minutami skrzyżowanie dróg, miał nawet ochotę pojechać drogą okólną: inną ścieżką do szosy, a potem przez osadę. Jechało się tamtędy pięć może siedem minut dłużej. Ale była to droga prosta, zwyczajna, monotonna na której myśl nie była niczym zajęta. Natomiast ścieżka obok lasu wymagała od jadącego uwagi. Pojechał wzdłuż lasu.

W tej chwili, gdy już uwaga nie była potrzebna, wróciły do niego odgłosy świata. Przez jakiś czas mógł być na nie głuchy. Z tym większą gwałtownością odezwały się one teraz. Przypominały charkot wielu naraz umierających. Zresztą mogły przypominać tysiące innych dźwięków. Były splątane, zmieszane, niemożliwe do zniesienia. Nie słyszał ich, jadąc rano. Las miał wtedy z lewa: jego długi cień leżał aż za drogą, na łąkach. Nad nim niebo było pogodne, koloru niemowlęcego kocyka. Pogodne niebo było także z prawa. Tylko przed nim, nisko, nad czubami drzew leżała ruda chmura. Jadąc — patrzył na nią nieustannie. Ale było cicho. To za nim były dźwięki: nieuchwytnie, prędkie uderzenia młotów czy też bulgotanie powietrza na powierzchni gotującego się płynu. Nie były to dźwięki obojętne; ale wydawały mu się obojętniejszymi, niż te, których oczekiwał.

Podjechawszy do bramki, zsiadł z roweru. Ceglany fronton kościoła wsiąkał w ciemne tło kasztanowych liści. Przez otwarte drzwi dochodziła, niby zawodzenie, śpiewana pieśń: trzy baby wydzierały się nierówno i piskliwie, odpowiadał im nosowy i beczący głos męski. Podprowadził rower do drzwi zakrystii i oparł go o mur.

Przekonywano go nieraz, że powinien wprowadzać rower do środka lub przynajmniej zakładać łańcuch na koło. Kiwał głową potakująco, ale nie robił tego nigdy. „Ej — ostrzegał proboszcz, — ukradną jeszcze kiedy. My tu mamy wielu takich kombinatorów... „To samo mówił organista Maleciński: „Czy to jest dla takich co świętego? Z kościoła to może nie ruszom. Ale kury gospodyni księdza proboszcza kradnom, i szczeniaka takiego rasowego ukradły, a jabłek w sadzie to nijak człowiek nie upilnuje... „Uśmiechem przyznawał im rację. Byli ludźmi, którzy spotykali się już nieraz oko w oko z kradzieżą. Wiedzieli czym ona jest. On — choćby mu wszystko zabrali — jeszcze nie umiał by jej pojąć.

Ksiądz ubierał się już do mszy, więc tylko kiwnęli sobie głowami. Stary Maleciński upominał małego ministranta: „Te, Józiek, żebyś mi wina nie wylał... Łapy masz jak z masła..."

Drzwiami z zakrystii przeszedł do prezbiterium. Zawsze czekał tu na niego klęcznik, który ksiądz kazał postawić. Ale on wychodził na kościół, siadał pod sztandarem ze św. Stanisławem Kostką, w ławce, na drugim końcu której pół klęczał, a pół siedział, z dłonią omotaną różańcem, śpiewający dziadyga.

Tamten nie przestając się zanosić swą pobożną pieśnią, gestem pełnym powagi skłonił swą obrośniętą siwymi kudłami głowę. Odpowiadał na jego ukłon — ukłonem.

Kiedy ksiądz wychodził przed ołtarz, prędko sięgał po swój mszał; odszukiwał założone obrazkami modlitwy na dzień dzisiejszy. Mszał był łacińsko - francuski. Pochodził jeszcze z czasów tamtego spotkania w Paryżu. Niedawno zdarzyło mu się zapomnieć książkę w kościele. Ksiądz odesłał mu ją tego samego dnia przez jednego z ministrantów. Biorąc ją z rąk chłopca i szukając w kieszeni pieniędzy, by mu coś dać „za fatygę", nagle poczuł się zażenowany: mały na pewno zajrzał do środka, zobaczył tę francuszczyznę... Od tamtej chwili nosił się stale z zamiarem wymiany mszału na polski.

Msza odbywała się — jak stale — dla wszystkich lecz, poza wszystkimi. O tym myślał nieraz, obrzucając wzrokiem te sześć czy osiem osób — uczestników codziennej mszy. W gruncie rzeczy wolał pustkę i ciszę, drażnił go tłok niedzielnej sumy, zaduch, przeciskanie się spóźnionych. O wiele lepiej było modlić się samemu w ciszy. Lecz ta cisza budziła same wątpliwości. Cóż za naiwne zadowolenie: — myślał, z tego że ja tu jestem...! Moja obecność nie zastępuje tamtych. Nie może ich zastąpić. Msza w pustce — to niby cenny zastrzyk, przedawniony, zamiast być użyty dla umierającego dziecka.

Starał się towarzyszyć modlitwom księdza. Ale kiedy gdzieś koło Ofiarowania w mrocznym, poprzebijanym smugami słońca, wnętrzu pojawił się niepokojący dźwięk, jego uwaga została od razu zmącona. Mimo wysiłków nie mógł już utrzymać wątku: trzeba było „doganiać" księdza, „przeskakiwać" zagubione fragmenty mszy, wczytywać się z natężeniem i po kilka razy w zdania, które nagle stały się niepojęte. Próżno marszczył czoło i skupiał wolę. Modlitwa wymykała mu się, jak się wymyka przedmiot ze zdrętwiałej dłoni. Dalekie charkotanie wdzierało się przez otwarte drzwi kościoła. Nabierało siły. Tak bardzo przykuwało jego myśli, że nie spostrzegł nawet, kiedy się rozległ pierwszy dzwonek Podniesienia. Pełen niechęci do własnej słabości, schylił głowę. Odmawiał słowa modlitwy prawie głośnym szeptem, aby nie rozpłynęły się w myśleniu. Ale kiedy doszedł do memento, stanęli mu przed oczami ci, za których się modlił. Nie był pewny czy wszyscy oni już nie żyją, czy niektórzy z nich nie umierają dopiero teraz, wśród rzężenia przestrzeni. Odmawiany przez księdza Pater Noster przypomniał mu, że się nie modli, ale że znowu toczy nocną rozmowę. Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie senność. Służący do mszy chłopiec, obejrzawszy się, zadzwonił energicznie, a potem począł hałaśliwie trzepać Confiteor. Wtedy wstał i podszedł do wykrochmalonej serwety. Osunął się ciężko na kolana. To tak — tak tylko — przychodził do tego stołu. Nie było w nim skupienia, a przeciwnie: rozbicie walką, wyczerpanie zawodnika, który pół przytomny doczołguje się do mety. Od tylu lat walczył z zawodem. Właściwie — zawsze. Jeden jedyny błysk był na początku — jedyna chwila w małym kościołku na St. Honoré, w czasie której, nie tylko wiedział co przeżywa, ale i czuł to także. Potem zapadła noc. Jakby nic się nie stało, jakby nic się nie zmieniło w jego życiu. Jakby lekarstwo, po które sięgnął — nie poskutkowało...

Charkotanie zza rzeki rozbrzmiewało jeszcze mocniej w podcieniu kasztanów przed kościołem. Roweru i tym razem nikt nie zabrał. Nie czekał na księdza, który odmawiał w klęczniku w zakrystii modlitwy po mszy. Przełożył nogę przez ramę, nacisnął pedał. Ciężka lecz zwinna maszyna potoczyła się po ścieżce do furtki. Ale przy furtce stał organista Maleciński, dmuchając w swoje rudosiwe, wielkie jak wiechy wąsy.

— A, moje uszanowanie, najniższe, księciu panu...

Trzeba się było zatrzymać.

— Dzień dobry, panie Maleciński.

Uścisnął suchą, twardą rękę organisty.

— Cóż tam?

— A to strzylają, proszę księcia pana. Walom i walom. Znowuj zaczęli. Cheba nic już z miasta nie będzie. Ludzi wymordują, dobytek spalom... i kościoły, i wszystko... Zawzięły się juchy... — Ciemna ręka zawisła nad parkanem, półzamknięta, ni to wskazując, ni grożąc. — Ale się nasze bijom! Mówiła Konderkowa, książę pan wi? — ta od szewca, bo to ona była na tem Zioliborzu, jak się cała rzecz zaczęła, że takiego ducha to no no... nie było. Tam się każde bije: chłop, dziewczyna, dzieciak, każde... Mówi Konderkowa, że jak jeden... Pobudowali takie, mówi, barykady i bijom się. Jak jeden... Tamte ich zabijają, a one znowuj Niemców. Za każdego. Tylko, że broni ni ma, ot co!

— Właśnie — powiedział, aby coś odpowiedzieć. — No, cóż, zobaczymy. Nic innego nie możemy zrobić... — Znowu wyciągnął rękę do starego organisty. — Do widzenia, panie Maleciński.

Pojechał szybko, bo kościół stał na wzgórzu i droga do wsi szła trochę w dół. Miał wrażenie, że słyszy za sobą wołanie księdza; nie obejrzał się jednak. Nie miał dziś ochoty na rozmowę. Prędko jechał przez wieś. Była jak wymarła — część mężczyzn zabrano do kopania okopów, reszta wolała nie pokazywać się na drodze, która często przejeżdżały niemieckie auta, gotowe w każdej chwili zatrzymać się i załadować napotkanych ludzi. Łomot zza rzeki dochodzi ciągle, mniej głuchy tu niż tam, pod drzewami, przelewający się jak głos morza: to głośniejszy, to znów przez chwilę słabszy. Na niebie, nad wsią wędrowały trzy jasnoszare samoloty o końcach skrzydeł pomalowanych na żółto. Ich warkot dudnił ciężko.

Z drogi zjechał na dróżkę, z dróżki na ścieżkę. Od krzyża zaczynał się las, piękny, górą sosnowy, wysokopienny, niżej pełen stłoczonych brzóz, dębów, krzewów tarniny. Ścieżka, którą jechał, prowadziła nad rowem. Początkowo sprawiała jadącemu pewne trudności. Ale dalej stawała się szersza, bardziej równa, zupełnie prosta.

Wtedy zwolnił. Odgarnął z czoła ciemne, prawie czarne włosy. Jechał wyprostowany, dotykając kierownicy końcami palców. Stukot dalekiej walki, rozlegający się za nim, zdawał się, jak magnes, trzymać go za plecy. W pewnej chwili przebiegło mu przez głowę: to brzmi jak krzyk. Ale nie myślał w tej chwili o nie[illegible]lonym krzyku. Pamiętał jeden — to byl[illegible] Róży, zanim ją zabrali na porodową [illegible]. Właściwie niegłośny. Raczej skarga niż krzyk. Powtarzała: „nikt mnie nie uwolni! nikt mnie nie uwolni!" I on — po raz pierwszy za chwilę ojciec — wiedział dobrze to samo: nikt jej nie uwolni, aż się wszystko stanie. Nie można powiedzić: już dosyć, więcej nie! Nic jej nie uwolni. A raczej — nic ich nie uwolni przed czasem.

Las skończył się, trzeba było teraz przejechać mały kawałek skrajem piaszczystej, drogi. Potem kilka wysokich lip — ślad dawnej, cienistej alei — gęsta siatka parkanu. Furtka była otwarta, minął ją, nie potrzebując zsiadać. Zielony, okrągły klomb oddzielał go, od ganku.

— Tatusiu — usłyszał.

Obejrzał się, zeskoczył z roweru. Młodszy syn, jedenastoletni Tomek, wyszedł z krzaków jaśminu z wyłamaną przed chwilą gałęzią w ręku.

— Już wstałeś?

— Tak, tatusiu. Dzień dobry — Tomek miał ciemną cerę ojca, włosy gęste, spadające na czoło i lekko orli nos. Także w chodzie przypominał Franciszka: nigdy nie śpieszył się, nigdy nie był kanciasty w ruchach. — Pozwoli mi tatuś pojeździć w koło klombu?

Wziął z rąk ojca kierownicę. Postawiwszy nogę na pedale, drugą odbił się mocno. Jechał, stojąc, zgrabnie utrzymywał równowagę.

Pozostawiwszy syna z rowerem, poszedł na taras. Bujnie rozrosłe wino i kokornak o wielkich, wyciętych w kształt serca liściach, pokrywały spękany mur oraz poobijane tynki. Kiedyś, gdy przyjeżdżał tutaj, wino było przycięte, tynki całe. Wiosną i latem służba rozpinała nad stolikami barwne parasole. Teraz pozostał tylko jeden, wypłowiały, którego nikt nie zdejmował przez całe lato. Pod

HORYZONTEM [1]

parasolem nakryte było do śniadania. W wielkim trzcinowym krześle siedziała Róża. Pochylił się do jej ręki.

— Dzień dobry, kochanie.

— Już jesteś, Franc? — nazywała go Franc od czasu ich poślubnej podróży po Europie. W szwajcarskich hotelach anonsowano ich tak zawsze: „Franz, Fürst von Poniatowski, Rose, Fürstin von Poniatowski..." Śmiała się: „To dobrze brzmi i krótko: Franc..." Tak już pozostało. Dopiero od paru lat zaczęło brzmieć niewłaściwie. Nie powiedział jej o tym nigdy, to ona sama, gdy znaleźli się w towarzystwie, mówiła: Franku. Ale w domu był jak dawniej: Franc.

Podsunęła talerzyk, chleb, marmoladę. Chleb i marmolada były kartkowe, kawa nieprawdziwa. W srebrnej, znaczonej herbem z dziewięciopałkową koroną cukierniczce, „dulcyna", którą wyrabiała znajoma, inżynier chemii.

— Pij, proszę...

— Pozwolisz, że najpierw zapalę?

Nie palił nigdy przed powrotem z kościoła. Jeden z księży powiedział mu kiedyś: „Książę nie jest do tego zobowiązany. Chodzi tylko o powstrzymanie się od jedzenia... tego wymaga przepis kościelny". Później począł mu tłumaczyć jakie motywy przyczyniły się do ustanowienia eucharystycznego postu. Franciszek słuchał, lekko skłaniając głowę i uśmiechając się grzecznie. Nie odpowiedział nic. Ale w dalszym ciągu nie palił przed mszą.

— Proszę cię — podała mu zapaloną zapałkę.

— Dziękuję ci, kochanie. — Zaciągnął się. Był, jak zwykle, doskonale ogolony. Poprzez rozmazujący się w powietrzu dym widział balustradę tarasu a za nią kłąb krzewów jaśminowych i długolistnych octowców. Czas jakiś milczał. Potem długo i starannie otrząsał papierosa. Przełknął ślinę. Zaczął: — Wiesz moja droga...

Fotel zatrzeszczał — poruszyła się niespokojnie. Urwał, poniósł na nią wzrok. W jej dużych, błękitnych jak niebo nad głową, oczach ujrzał przerażenie. Zrozumiał. Sięgnął znowu do papierosa, który położył na brzegu popielniczki. Mocno go przygryzł. Ach, ten lęk w oczach kochanej kobiety! Mogła nic nie mówić — rozumiał wszystko: odpychała wzrokiem jego słowa, nie chciała ich. Oczywiście — słowa — to tak mało. Słowa nie przenoszą żadnego rozwiązania. Znowu przypomniała mu się klinika: gdy pochyliwszy się nad żoną chciał jej wyrazić współczucie; nie dała mu nic powiedzieć; rzuciła niecierpliwie: „nie mów nic, Franc, nie mów! Nic mi przecież nie pomożesz!" Zdusił papierosa, bez słowa przysunął sobie dzbanek z kawą. Łomot za rzeką trwał ciągle. Bulgotanie z drugiej strony także było słychać. Jakby na przekór pogodnemu niebu i spokojnemu sierpniowemu słońcu, które leżało na liściach lip i grabów, oraz zdawało się wylegiwać leniwie na trawie klombu; cały horyzont dygotał wojną.

Znowu podniósł wzrok na żonę a ona widząc jego czarne oczy utkwione w sobie, zrobiła lękliwy ruch ręką. Jej piękny palec zakreślił koło w powietrzu. Potrząsnęła głową. Ręka opadła gestem beznadziejnym.

— Gdzie Krzyś? — zapytał, siląc się na ton beztroski.

Młodszy syn nadal objeżdżał klomb, stojąc na pedale zbyt dużego dla siebie i zbyt ciężkiego roweru.

— Poszedł... — Ale spokój odleciał zaraz z jej słów. W błękitnych oczach zapalił się niepokój; stały się jasne, lśniące, szkliste. — Przecież sam wysłałeś go do Wojtuli!

Chciał wyrazić zdziwienie: „jeszcze nie wrócił?", ale powstrzymał się. Przeciwnie rzekł swobodnie:

— Prawda. Zapomniałem...

Zaraz poczuł do siebie żal o to drugie słowo. Słowo za dużo. Pochylił głowę, powiedział w duchu: „Panie wybacz mi to głupie, niepotrzebne kłamstwo". Chleb był czerstwy, marmolada niesmaczna, kawa, w której rozpuściła się, sycząc, „dulcyna", jednocześnie mdło-słodka i gorzka. Jakieś samoloty, warcząc, szły niewidoczne za zasłoną drzew.

— O, Franc — szepnęła nagle.

Bez słowa położył swą dłoń o skórze smagłej na jej białej, znaczonej błękitnymi żyłkami dłoni. Czuł jak ręka kobiety drży.

— Boję się — mówiła cicho, — boję się... Co znami będzie?

Tylko mocniej przycisnął jej rękę. Rozumiał ją. Ale ona nie pojmowała jego. Nie przyszło mu nigdy przedtem do głowy, że to tak trudno wypowiedzieć całego siebie — swą myśl najgłębszą. Była zrozpaczona, szukała u niego pomocy. A przecież wiedział, że każde jego słowo stanie się dla niej tylko nowym, dalszym ciężarem. To chyba tylko mężczyzna — myślał — pożąda dotarcia aż do samego dna prawdy. Mężczyzna musi wiedzieć. Kobieta zgadza się nie wiedzieć. Ciągle bez słowa przesuwał dłonią po miękkiej dłoni żony. Opuściła głowę. Nie widział jej twarzy tylko jasne włosy, spokojnie upięte. Posłyszał szloch. Ten dźwięk pozwolił mu na moment zapomnieć o hurkocie wojny.

— Różo, kochanie — powiedział czule, — nie płacz. Opanuj się... Proszę. Nie z takich opałów ludzie wychodzili. Powinniśmy ufać...

Ale czuł, że to są słowa bez należytej wagi. Ona chciała, aby ją zapewnił, że to koniec, że nie będzie już nic więcej... — uświadomił sobie. Czy mogę ją o tym zapewnić? Koniec? Co to jest koniec? Siedział nieporuszony, a miękki, pełen uczucia uśmiech nie schodził mu z ust. Ona w końcu westchnęła, wyprostowała się, wysunęła dłoń z jego dłoni. Wtedy wolnym gestem zdjął serwetkę z kolan, położył ją obok talerzyka.

Zapytała trochę łzawo:

— Już wypiłeś, Franc? Nie będziesz głodny?

— Nie. Dziękuję, kochanie. — Pocałował ją w rękę. Oddaliła się wolno. Franciszek pozostał jeszcze na tarasie. Podszedłszy do balustrady, patrzył przez chwilę na syna, który oparłszy rower o drzewo, grzebał pochylony przy pedale. Coś przykręcał czy odkręcał. Spojrzał na zegarek. Nie było późno. Wprawdzie powiedział Krzysiowi: „idź, powiedz i zaraz wracaj", ale Krzyś, jak to Krzyś, mógł się zagadać, albo utknąć w warsztacie. Obaj chłopcy zdradzali wielkie zainteresowanie dla wszelkich robót mechanicznych.

Postanowił odczekać jeszcze pół godziny. Jeśli do dziesiątej nie będzie Krzysia, pójdzie sam do warsztatu Wojtuli. Wszedł do mieszkania, powędrował na piętro. Tu był jego pokój, duży, niezbyt jasny, bo umieszczone w środku okno nie oświecało dostatecznie kątów. Pod ścianami z jednej strony stały półki z książkami, z drugiej znajdował się niski tapczan, nad nim dywan, na dywanie — stary ryngraf. W kącie wisiał pęk szpicrut. Na stole pełno było fotografii w dużych i w małych ramkach. Przy drzwiach rozkładany stolik do kart. Jeden z wielu jakie były w domu. Nie spełniał zresztą swej roli od dawna; służył jako sprzęt pomocniczy pod książki i drobne przedmioty.

Franciszek siadł przy biurku, w fotelu obitym skórą. Z wysokości swego okna widział pomiędzy koronami lip dalekie pola, zagajniki, rozsypane zrzadka domki, daleką, czarną linię lasu. Znowu leciały samoloty; słońce stało wysoko i cień trzech lecących aparatów sunął prędko po ziemi, przeskakując płoty, kopki zboża, znacząc dachy domów czarnym krzyżem — niby piętnem śmierci.

Sięgnął po leżącą na stole książkę. Była w brązowej, sztywnej okładce z czarnym napisem: „Paulus". Otworzył ją — miał przed sobą strony nabite gęsto gotykiem. Obok karty tytułowej znajdowała się reprodukcja obrazu Rembrandta przedstawiająca zmęczonego Apostoła o zrytej cierpieniami twarzy, siedzącego przy stole na którym stoi palący się kaganek. Franciszek dostał tę książkę niedawno. Pochłonęła go całkowicie. Po raz pierwszy ktoś pokazał mu w zawikłanym gąszczu tekstów żywego człowieka. I ten człowiek wydał mu się od pierwszej chwili kimś bliskim, zrozumiałym, prawie współcześnie żyjącym. Nie od razu pojął, co wywołuje wrażenie tej bliskości. Dopiero tamta, nocna rozmowa otworzyła mu oczy. Największą prawdę można nieznaną nosić w sobie, aż ją nam odkryje niespodziewanie drugi człowiek. Wtedy miał ochotę zawołać: „To właśnie to!" Delikatna woń druku zbiegała się teraz w jego pamięci z wonią wczesnowiosennego lasu: wilgotnych sosnowych gałęzi, przegniłego igliwia, w którym strumyki topniejącego śniegu wyryły kręte koryta. Roztaplany z wodą zeszłoroczny mech był na butach człowieka, który z nim rozmawiał, nie wypuszczając książki z ręki.

Oddała mu ją potem chuda, jasnowłosa dziewczyna o niebieskich oczach i w powycieranym palteczku. Był wtedy w Warszawie. Zawołano go do niej: „Ktoś przyszedł do księcia..." Przechodząc przez pokój zobaczył niespokojny wzrok Róży. Niedawno mu powiedziała: „Znowu, Franc, sprowadzasz do domu jakieś konspiratorki..." Dziewczyna rzeczywiście wyglądała na urodzoną konspiratorkę. Pod swym wiatrem podszytym paltocikiem, można było oczekiwać, że nosi pistolety, granaty, gazetki. Ale tym razem wydobyła spod pachy książkę... „Pan Ordon kazał oddać i dziękuje bardzo..." „Proszę pozdrowić pana Ordona". Odprowadził ją do drzwi. Podał jej rękę, a ona uśmiechnęła się do niego swym chudym, lisim pyszczkiem. Potem jeszcze zobaczył przez okno jak przechodzi ulicę i idzie — z cudowną niedbałością — prosto na patrol żandarmerii.

Odpędził od siebie wizję chudonogiej dziewczyny. Idąc jej śladem, może by odnalazł lokal jej zwierzchnika. Ale to nie było by odnalezieniem człowieka. Wiedział, że jeśli nie znajdzie innej drogi, tamta rozmowa pozostanie jedyną. Począł czytać w miejscu, w którym się książka otworzyła. Na następnej stronie, zobaczył linię, zrobioną ołówkiem na marginesie tekstu. Książka wróciła do niego z zakreśleniami, wykrzyknikami, skrótami słów — czasami także z ciemnymi plamami palców. Chciwie — jak się czyta list przyjaciela — przebiegł wzrokiem zakreślony fragment. Był to urywek listu: „Błogosławiony, który w tym, co za dobre uznaje, siebie samego nie potępia..." Tak, to trzeba było zakreślić — przyznał. Łomot za horyzontem zlewał się w jedno z nocnym ponurym szumem lasu, który miał w uszach.

Jeszcze zimą doszło do tego zgłoszenia. Na jednej z odpraw, w której wziął udział Franciszek, powiedziane zostało o konieczności zorganizowania punktów odbiorczych dla zrzutów powietrznych w pobliżu Warszawy. Bez pośpiechu, spokojnie i rozważnie, zaofiarował pomoc. Oświadczył, że gotów jest podjąć się tego zadania. Przewodniczący odprawy ucieszył się wyraźnie, ale inni jej uczestnicy zrobili miny pełne powątpiewania. Ktoś przyniósł mapę, starą, polską, trzykolorową, z naniesionymi na nią napisami, komentarzami i żółtą, niemiecką siatką meldunkową: Grossblatt 348, Plohnen — Ostenburg — Modlin — Warschau Nord, — z uwagą: „nicht für die Oeffentlichkeit bestimmt!" Franciszek siedział obok pułkownika o lekko wyłysiałej czaszce, którą pokrywało kilka ostatnich, długich pasem czarnych włosów. Ręce przewodniczącego leżały na stole, z rękawów wyglądały postrzępione mankiety koszuli. Duże nieco i obwisłe usta, czarne, krzaczaste brwi budziły zaufanie. Życzliwość, z jaką podchwytywał każdą uwagę Franciszka, zdawała się mówić o wrodzonej sympatii do ludzi. Ale inni oficerowie stali kołem, pochyleni także nad mapą: poza ich chłodną obojętności wyczuwało się rzeczy dalsze. „Proszę, niech pan nam pokaże..." — mówił pułkownik do Franciszka. Palec księcia przesuwał się od jednej do drugiej zielonej plamy.

— Wydaje mi się, że teren bardzo korzystny — objaśniał. Pięć dużych kompleksów leśnych. Dostęp do nich utrudniony: błoto, mokradła, nieużytki... Pan pułkownik zechce spojrzeć...

— Oczywiście, oczywiście — w czarnych oczach pułkownika błyskały płomyki sympatii. Obejrzał się na swoich współpracowników. Lekko, ale jeszcze bez aprobaty, kiwali głowami. — Sądzę, że możemy powierzyć panu porucznikowi to zadanie...

— Jeżeli chodzi o wykonanie techniczne — powiedział jeden z obecnych o wyglądzie, mimo cywilnego ubrania, tak zawodowo wojskowym, że aż należało się dziwić, iż za sam ten wygląd nie został dotychczas aresztowany, — raczej tak... Do odbioru jednak muszą być delegowani ludzie ze sztabu. Pan pułkownik rozumie — musimy mieć absolutną gwarancję nienaruszalności przesyłki...

— Panu majorowi chodzi o to, aby się broń nie „rozłaziła" — pułkownik powiedział to w formie częściowo zapytania w stronę majora, częściowo wyjaśnienia dla Franciszka. — Ludzie przyjmujący odbiór uważają zwykle, że się im jakiś procent przesłanej broni należy. No, ale w takim wypadku byłaby to premia dla jednych, kosztem drugich, równie potrzebujących... Ilu pan ma ludzi? — zwrócił się do Franciszka.

— Stu czterdziestu kilku.

— Uzbrojenie?

— Wydaje mi się, że nienajgorsze. Dwa niemieckie kaemy, dwadzieścia kabe, dwadzieścia siedem peemów rozmaitych typów, koło czterystu granatów, pistolety...

— Po prostu świetne! Jak pan to zdobył? Pan się zdradza jako znakomity dowódca.

— Oh, nie. Dowódcą jestem zresztą niedawno. Dużo broni znalazłem w oddziele, kiedy go obejmowałem. Część kabe została odkopana — pochodzą z 1939. Granaty fabrykujemy sami. Trochę sprzętu odstąpili nam partyzanci z Lubelszczyzny.

— Mimo to! Jestem z dużym uznaniem. Wobec tego powierzam panu zorganizowanie tych punktów odbioru, z tym, że na każdy odbiór przybędzie do pana ktoś ze sztabu. Otrzyma pan także informacje gdzie i jak powinien pan przekazać otrzymaną przesyłkę. Proszę mi zameldować ukończenie robót przygotowawczych. Jak prędko może pan być gotów?

— Zaraz jutro tam wyjadę i sądzę, że w ciągu tygodnia, no, może dziesięciu dni będę mógł złożyć meldunek.

— Pan tam ma swoje dobra? — zapytał major.

Franciszek podniósł na niego zdziwiony wzrok.

— Dobra? Nie. Mam tam mały domek. Przyjeżdżający ze sztabu oficerowie będą się mogli u mnie zatrzymać.

— Bo ja myślałem — major uśmiechał się — że to tam leży pana majątek...

Niechętnie i dość twardo powtórzył:

— Nie. Mam tam tylko mały domek

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Nowe wydanie

powieści

Jana Dobraczyńskiego

WYBRAŃCY GWIAZD

ukazało się już w handlu

do nabycia wszędzie Cena zł 900.—

Zygmunt Lichniak

ŚLAD CHRYSTUSA W LUCANII

1.

Ciekawa książka Carlo Lewi, książka, która swoim tytułem*) musi zainteresować każdego katolika, jest przede wszystkim literackim reportażem politycznym. Problem chrystianizmu stanowi jedną ze składowych części obrazowanej sytuacji polityczno - kulturalnej, z kontekstu nie wynika wcale, że ma być to problem główny, bo autor równie dużo, jeśli nie więcej miejsca poświęca opisowi napięć społecznych między reżimem faszystowskim we Włoszech, a bierną pozornie masą chłopską zapadłej Lucanii.

Dlatego nadanie książce takiego, a nie innego tytułu świadczy o ciekawym wartościowaniu zjawisk. Dla Carlo Lewi zagadnienie chrystianizmu staje się zagadnieniem najistotniejszym, uważa za konieczne podkreślenie jego ważności przez negatywną tezę tytułu.

Tezę tę wyjaśnił szerzej we wstępie do swej książki.

„Chrystus zatrzymał się naprawdę w Eboli, gdzie droga i kolej żelazna opuszczają wybrzeża Salerna i wchodzą w głąb posępnej krainy Lucanii. Chrystus nigdy tu nie doszedł, nie dotarł tu też nigdy czas, ani dusza jakaś indywidualna, ni nadzieja, ni związek między przyczyną i skutkiem, prawem a historią. (...) Chrystus wstąpił do piekła podziemnego żydowskiej moralności, aby rozbić wrota czasu i położyć na nich pieczęć wieczności. Lecz w owej krainie zapadłej, bez grzechu i bez wybawienia, gdzie zła nie odczuwa się bólem, bo jest bólem ziemskim, tkwiącym niezmiennie w rzeczywistości, Chrystusa nigdy nie było." (str. 5—6).

Dzieło jest i ciekawe literacko i wnikliwe politycznie. Jego literackość i tendencja polityczna na pewno wpłynęły na postawę autora wobec tytułowego problemu. Aby ten problem jednak jak najgruntowniej przeanalizować, usuwamy na plan dalszy inne kwestie, wiedząc, że w samej analizie problemu znajdują one pośrednio swoje odbicie, bo — jeszcze raz to podkreślamy — dalecy jesteśmy od nieumotywowanego i błędnego metodologicznie, choć czasem w praktyce warsztatu roboczego — nieuniknionego, autonomizowania poszczególnych elementów jednolitej całości.

2.

Jakie argumenty mają — według autora — przemawiać za tezą tytułową książki? Spróbujmy je zebrać i poddać później próbie dyskusji. Autor argumentuje albo wypowiedziami samych mieszkańców Lucanii, albo opisem ich życia i obyczajów, albo wreszcie własnymi wnioskami mniej lub więcej poprawnie wydedukowanymi z tego opisu. Te trzy typy argumentów są wplecione w tryb relacji reportażowej, mającej nadawać wszystkim wypowiedziom większą wagę, wagę autentycznych, na autopsji opartych wyznań. Zilustrujmy każdy typ argumentów przykładami.

Oto wypowiedzi mieszkańców Lucanii, mające przemawiać za słusznością tezy tytułowej. „My nie jesteśmy chrześcijanami" — mówią oni. (str. 5). A miejscowy proboszcz woła: „Przeklęci, heretycy, wyklęci! Ta ziemia nie zna łaski Boga (...) Chłopaki przychodzą do kościoła bawić się! (...). A tak to nikt się nie pojawia. Mszę odprawiam przed pustymi ławkami. Nawet nie są chrzczeni..." (str. 40). Nowy proboszcz potwierdza — w spokojniejszym już tonie — wyznania poprzednika: „Jest tu wiele do zrobienia, bardzo wiele. Można powiedzieć, że wszystko. Kościół jest w najgorszym stanie, dzwonnicę musi się przebudować, czynsze dzierżawne z naszej ziemi nie są zupełnie płacone, albo tylko częściowo i z opóźnieniem. Lecz przede wszystkim nie ma tu żadnej religijności. Mnóstwo chłopów nie jest w ogóle ochrzczonych. Jeżeli ktoś z nich nie jest chory lub nie grozi mu śmierć, nikt o to nie dba. Do kościoła chodzi tylko kilka staruszek, a w niedzielę na mszy nie ma prawie nikogo. Ludzie się nie spowiadają i nie przystępują do Komunii świętej". (str. 221-2).

Relacja opisowa autora reportażu kontynuuje i potwierdza wywody dwóch proboszczów i ich owieczek. Oto „nadchodzi proboszcz, niskiego wzrostu i chudy, z długim wisiorem czerwonym przy kapeluszu. Nikt go nie pozdrawia!" (str. 21). Oto portret barona Mikołaja Rotunno z Avellino: „Był on zdolny do wyrzucenia chłopa z roli z powodu kilku lirów długu (...). Był człowiekiem kościoła, nosił w butonierce surduta zamiast zwykłej oznaki faszystowskiej znak akcji katolickiej". (str. 35). Wreszcie — nie nadające się do cytat ze względu na objętość — opisy zabobonu, wiary w magię, w podwójne istnienie kobiety — krowy, człowieka — wilka, barona — lwa, kozy — diabła itp.

Te relacje opisowe stanowią podstawę trzeciego typu argumentów: samodzielnych wniosków autora reportażu. Obserwacja wierzeń zabobonnych rodzi wniosek, że „nie ma miejsca dla religii, bo w ich (tzn. chłopów Lucanii — dop. mój, Z. L.) pojęciu wszystko uczestniczy w boskości i wszystko jest naprawdę, a nie tylko symbolicznie boskie: niebo i zwierzęta, człowiek i koza. Wszystko jest magią, podobnie jak ceremonie kościelne są dla nich obrzędami, które zachowały niejedno z dawnych wierzeń w bóstwa opiekujące się ich wsią". (str. 105). I dalej: „W pojęciu tutejszym ich Madonna jest jak ziemia. Może wszystko zniszczyć, albo okryć kwiatem. Nie zna nikogo, idzie swoją drogą według własnej, nieprzeniknionej woli. Czarna Madonna nie jest w pojęciu tych ludzi ani dobrą, ani złą, jest czymś o wiele większym. W Jej mocy leży wysuszenie zboża, albo zniszczenie go, lecz żywi także i otacza opieką, musi się więc Ją adorować. We wszystkich też domostwach chłopskich Madonna z Viggiano, z przybitego czteroma gwoździami do ściany obrazka, spogląda swymi wielkimi, czarnymi oczyma na każdy szczegół tego biednego życia". (str. 109).

Ten sposób wnioskowania uprawnił autora książki do nadania jej uzasadnionego zupełnie — jego zdaniem — tytułu, który stanowi lapidarne ujęcie genialnej tezy wywodów.

3.

Dokładniejsza analiza argumentów wszystkich trzech typów, które za słusznością tej tezy mają — według autora — przemawiać, wykazuje ich niezbyt prawidłowe funkcje logiczne. Zasadnicza nieprawidłowość polega na udowodnieniu nie tej tezy, którą należało udowodnić. Bo z wszystkich — choćby przykładowo przytoczonych — argumentów autora reportażu, wynika, że Chrystus nie zatrzymał się w Eboli, lecz przywędrował do Lucanii. Autor argumentuje bowiem, że w Lucanii nie zrozumiano idei chrystianizmu, nie przeżyto jej należycie, nie przyjęto jej właściwych treści, ustosunkowano się do niej zbyt biernie. Nad trafnością takich spostrzeżeń i wniosków zastanowimy się za chwilę. Tu podkreślamy jednak, że metaforyczne sformułowanie tytułowej tezy Carla Lewi'ego jest nie tylko nieścisłe, ale wręcz sprzeczne z jego wywodami. Ślad Chrystusa w Lucanii jest wyraźny, sam autor — negatywizując problem — wskazał przecież jego dokładne kontury. Wypowiedzi chłopów, księży, opis stosunku chłopów do księży, problem kościoła w Grassano, wnioski autora, włączające kult Madonny do kultów zabobonnych — to jakiś stosunek do Chrystusa, do idei chrześcijańskiej. Aby się do czegoś ustosunkowywać — nawet negatywnie — trzeba założyć, że to coś jest. Aby jakoś ustalił się stosunek Lucanii do chrystianizmu — musiał jakoś chrystianizm przeniknąć w jej życie, musiał Chrystus przywędrować z Eboli.

Sprostowanie to tylko pozornie ma charakter sprostowania formalnego, prowadzi bowiem do odkrycia istotnej tezy reportażu włoskiego, do prawidłowego jej odczytania, do wykrycia subiektywnego stosunku autora wobec poruszonego przez siebie problemu.

Istotna teza książki brzmi: w Lucanii nie zrozumiano chrystianizmu. Chrystus nie znalazł tam, bo nie mógł znaleźć, podatnego gruntu dla swojej idei, Kościół jest tam instytucją zamierającą.

Tej tezy nie do się udowodnić tylko opisem i — jak widzieliśmy — autor nie poprzestał na opisie. Udowodnienie tej tezy wymagało pewnego wartościowania zjawisk i — jak wskazywaliśmy — autor podjął się zabiegów wartościujących, wyciągając własne wnioski z prawdopodobnie maksymalnie zobiektywizowanej relacji.

Zakładając jednak, że w partiach opisowych udało mu się osiągnąć nawet **maksymalną bezstronność** obserwatora, musimy zdawać sobie sprawę, że kryteria stanowiące podłoże późniejszego wartościowania zjawisk są już wytworem określonego systemu norm, określonej filozofii i to — niekatolickiej.

Nie ma w tym stwierdzeniu próby apriorycznego deprecjonowania osądów Carla Lewi'ego, jest tylko podkreślenie zależności tych osądów od innego systemu norm, niż normy katolickie, a tym samym wskazanie konieczności zajęcia postawy polemicznej i przez autora reportażu — wobec omawianych przez niego zjawisk i przez recenzenta książki wobec zawartych w niej tez, czy choćby tylko sugestii.

4.

Ponieważ każda polemika ma tylko wtedy sens, gdy uzgodnione są założenia, w oparciu o które mają funkcjonować argumenty w toku dyskusji, ponieważ tych wspólnych założeń między autorem książki, a nami nie ma, nie pozostaje nic innego, jak wykazanie przeciwnikowi nieścisłości lub sprzeczności jego wywodów, wewnętrznej niekonsekwencji lub niedopowiedzeń, które, nawet gdybyśmy na chwilę zgodzili się na jego założenia, muszą osłabiać siłą argumentów, a tym samym prawdziwość bronionej przez te argumenty tezy. Jeśli nie będzie to redustio ad absurdum, to w każdym razie zabieg, który ujawnić powinien nieprawidłowość logiczną procesu symplifikowania problematyki bardzo subtelnej i bardzo złożonej, jaką jest zawsze i wszędzie sprawa chrystianizmu.

Dokonajmy tego zabiegu w porządku ustalonym wywodami przedostatniej (drugiej) części tego artykułu.

„My nie jesteśmy chrześcijanami" — mówią mieszkańcy Lucanii. Autor wyjaśnia lojalnie, że „w ich gwarze chrześcijanin oznacza człowieka". (str. 5). Na podstawie dalszej relacji reportażowej, możemy uzupełnić informację autora. W gwarze Lucanii „chrześcijanin" oznacza dobrego człowieka, któremu można zaufać.

Podaję przykłady. Lukańczycy tłumaczą przybyszowi, że „w Gagliano są także lekarze, ale chodzić do nich nie można, bo to są konowały, a nie lekarze chrześcijańscy". (str. 11). Dalej: „...kobiety opowiadały, że widzą, iż ja nie jestem takim konowałem, jak inni, tylko dobrym chrześcijańskim, i że uzdrowię ich dzieci" (str. 40).

Nie chcemy upraszczać demagogicznie sprawy. Wiemy, że rozróżnień dokonywano w Lucanii bardzo prymitywnym sposobem, jednak określanie mianem chrześcijańskiego, tego, co dobre, co lepsze od zwykłego, ma swoją wymowę. I nie trzeba zapuszczać się — jak to zrobił autor — w psychologiczne komentowanie lucańskiego kompleksu niższości. To już inne zagadnienie. Sądzenie, czy jesteśmy, czy nie jesteśmy chrześcijanami, nie do nas należy. Do nas należy stwierdzenie, że jest rzeczą chrześcijańską w chrześcijanizmie widzieć, czy słyszeć synonim dobra, ufności, rzetelności.

Dlatego mniej nas martwią żale proboszczów. Kto wie, ile w ich żalach jest ich winy. Natomiast wiemy, że jest trochę przesady. Autor — może mimo woli — lojalnie nas o tym informuje. Nie są Lukańczycy specjalnie religijni, to prawda. Ale jakoś religia wiąże i określa ich sposób reakcji. Gdy nadszedł nagle poborca podatkowy, zwiastun wielu nieszczęść „kobiety zaczęły się na gwałt żegnać". Gdy starego grabarza zaczął prześladować diabeł, „stary nie wiele myśląc zrobił znak krzyża i — posłyszał zaraz zgrzytanie zębów i rozpaczliwe wycie" (str. 67). Nawet zdenerwowany proboszcz przyznaje, że obojętność religijna chłopów zniknie, jeśli ktoś z nich jest chory lub grozi mu śmierć. Sam autor pamięta ciągły lament umierającego: — Jezu dopomóż mi, doktorze ratuj! Jezu, dopomóż mi!... niby jakaś litania nieustannego strachu, łącząca się ze szmerem modlitw kobiet" (str. 196).

Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że nie jest to religia mistycznych uniesień, wiemy, że jest to pewna asekuracja przed Nieznanem, ale wiemy także, że poziom przeżyć religijnych jest też jakoś pośrednio uwarunkowany ogólnym poziomem, że wreszcie nawet najniższe rodzaje przeżyć natury religijnej stwarzają pewne szanse sublimacji, rozwijania, poszerzania skali doznań, aż do objęcia pełni, aż do przeżycia całej prawdy kontaktu z Bogiem. W tym nie ma pochwały kruchtowej dewocji, czy katolików depeszujących do Boga naglą modlitwą w przeczuciu zgonu, jest tylko zrozumienie dla pewnych, jeśli tak się wolno wyrazić, czubrionalnych doznań religijnych, które jednak świadczą o cudownym momencie poczęcia. Doznań tych nie można lekceważyć, bo tylko pozornie są niczym, w istocie stanowią zaczątek wspaniałych możliwości rozwojowych.

Carlo Lewi — tu przechodzimy do drugiego, opisowego rodzaju jego argumentów — skłonny jest tłumaczyć te doznania wiarą w zabobon, siłę magii etc. Wykładnikiem jego poglądów na tę sprawę są długie opisy swoistego dualizmu człowieczo - zwierzęcego, opisy mające służyć za podstawę oryginalnym wnioskom. Warto jednak zauważyć, że podstawę tę trochę sztucznie stworzył przez pośpieszne generalizowanie obserwowanych przez siebie zjawisk. Opowiedziawszy o kilku wypadkach, które z poczuciem ich legendarnej ważności referowali mu okoliczni chłopi, stwierdza zbyt szybko, że „dla tutejszego chłopa wszystko (podkr. moje — Z. L.) ma znaczenie podwójne" (str. 105). Kontekst (nie mówiąc już o zdrowym rozsądku) nie usprawiedliwia takiej generalizacji. Powiedzmy jednak, że tak było. Próba łączenia nowego kultu religijnego ze starymi wierzeniami byłaby udana, gdyby autor wykazał adaptację nowego kultu do starych form zabobonu, lub gdyby stwierdził, że nowe legendy z atmosfery kultury chrześcijańskiej wyrosłe są jakoś uzależnione, czy podporządkowane pogańskim klechdom. Przypadkowe zbieżności nie usprawiedliwiają śmiałych wniosków autora.

Wreszcie przechodzimy do trzeciej grupy jego argumentów. Reprezentatywnym dla niej przykładem jest problem Madonny. Ponieważ obraz Jej wisiał w każdej chłopskiej izbie, nie można było sprawy tego kultu pominąć milczeniem. Carlo Lewi wypowiedział się na ten temat jednoznacznie. Cytowaliśmy ten wywód w drugiej części artykułu, więc tu tylko przypomnimy główną jego myśl: Madonna jest siłą, ani dobrą, ani złą, lecz wielką. Z silniejszymi nie warto zaczynać. Lepiej żyć z nimi w zgodzie. Więc — adoremus. Włączono w ten sposób pewną określoną wartość kultu chrześcijańskiego w staro - pogański system bóstw przyrody. Tymczasem z lojalnej obserwacji życia i folkloru legendowego Lucanii dają się — nawet dosyć łatwo — wydedukować inne, niezgodne z supponowaną przez autora interpretacją cechy Madonny.

Czytelnicy znajdą legendę o Madonnie wspomagającej rycerza, który postanowił zgładzić smoka, zagrażającego okolicznej ludności (str. 100 — 101), dalej zaś przeczytać mogą opowieść o Madonnie z Viggiano, niosącej pomoc Małgorzacie, której cudem uratowała dziecko (str. 159 — 160), a jeśli komuś mało niech przeczyta o „współpracy" Madonny ze św. Antonim, mającej na celu zwracanie rodzicom dzieci, porwanych przez orkan czy demony (str. 160).

Przykłady te określają — o ile się nie mylimy — pozytywne cechy nadprzyrodzonej ingerencji. Wiemy, że to legendowy prymityw, ale w nim właśnie wyrażają się wierzenia ludu. Więc?

5.

Podsumowanie najogólniej wskazanych sprzeczności i niedociągnięć w rozumowaniu autora tego ciekawego reportażu, upoważnia do stwierdzenia, że teza książki jest mało uzasadnioną hipotezą. Autor nie dowiódł, że w Lucanii nie zrozumiano chrystianizmu, że Chrystus tam nie trafił, że Kościół jest tam instytucją zamierającą. Wobec ujawnionych w poprzedniej części omówienia braków zgodzić się można tylko na to, że chrystianizm w wydaniu lucańskim jest dosyć prymitywnie pojmowaną i przeżywaną doktryną, że negatywizacja pewnych jej cech jest wynikiem specyficznych warunków społeczno - politycznych, że księża nie umieją do tej pory stworzyć tam żywszych skupisk katolickich o głębszych zainteresowaniach.

*) Carlo Lewi: Chrystus zatrzymał się w Eboli, przekł. Alfreda Gontyny, okł. proj. M. Hiszpańska, wyd. „Książka i Wiedza", r. 1964, str. 329.

Czytajcie

„Słowo Powszechne"

Paweł Jasienica

MITY

Pamiętamy sprzed wojny spór prasowy o czterotomową powieść historyczną Zofii Kossak „Krzyżowcy". Obecnie na to wygląda, że — wobec ponownego wydania dzieła — tamta polemika może się wznowić. Jeżeli tak, to dobrze się stanie. Bo i powieść warta jest największego rozgłosu i — nasze dzisiejsze oceny bogatsze są o wojenne doświadczenia.

Wrocławski dwumiesięcznik „Homo Dei" ogłosił w 59 numerze recenzję prof. Karola Górskiego o „Krzyżowcach". Oto jest przykład, jak należy pisać o powieściach historycznych. Autor recenzji posiada rozległą wiedzę, gruntownie zna źródła, potrafi nam rzeczowo, a w sposób oszczędny i zwarty pokazać gdzie treść książki dokładnie pasuje do historii prawdy, a gdzie jest — dozwolona całkiem i nawet niezbędna — licentia poetica. Profesor Górski ocenił „Krzyżowców" dodatnio. Lecz oto w 61-62 numerze „Homo Dei" Redakcja powraca znowu do tegoż tematu, tym razem wystawiając dziełu Zofii Kossak cenzurę nad wyraz niepochlebną (zastrzegam się, iż piszę tu wyłącznie o wypowiedzi Redakcji, a wydrukowanej tamże tzw. „recenzji" pióra p. Zygmunta Jakimiaka, dotykać się w żaden sposób nie zamierzam).

Tak więc pisze Redakcja, iż powieść Zofii Kossak „już narobiła i w dalszym ciągu wiele złego robi wśród młodzieży". Dlatego też „Redakcji chodzi przede wszystkim o ostrzeżenie bibliotek parafialnych przed „Krzyżowcami" i o wszczęcie dyskusji czy firma katolicka może wydać dzieło z tak wielkimi niedociągnięciami etyczno-religijnymi, jak „Krzyżowcy" nie zażądawszy przed tym od autora gruntownej korekty".

Ponieważ wezwanie do dyskusji było, więc zgłaszam się na apel.

Wydaje mi się, że firma wydawnicza, i to wszystko jedno katolicka czy nie może oczywiście odmówić druku książki, ale nie może robić jednej rzeczy. Nie może mianowicie wywierać presji na autora, nie ma prawa żądać odeń „gruntownej korekty".

Bo przecie „gruntowna korekta" oznacza nie co innego, jak tylko żądanie, by autor patrzał na opisywaną, a często i stworzoną przez się rzeczywistość oczyma nie własnymi — tylko wydawcy. Bo przecie tego rodzaju żądania „korekty" noszą najwyraźniejsze w świecie znamiona presji materialnej: nie zmienisz w swej książce tego i owego, nie ugniesz się przed naszymi wymaganiami — nie wydamy ci książki, ssij własne palce. Wiemy np., że w Ameryce firmy wydawnicze dowolnie gospodarują w rękopisach dzieł i biada autorowi, który by się ośmielił zaprotestować. Ale to jest źle, to jest po barbarzyńsku. Szanujmy prawo pisarza do walki z poglądami utartymi i uświęconymi tradycją. I nawet — prawo człowieka do błądzenia. Bo nigdy wiedzieć napewno nie możemy, czy bariery, którymi go obstawimy, nie zagrodzą czasem drogi do prawdy.

Zaprawdę, niesławne są dzieje wydawniczych „gruntownych korekt". Wspomnijmy na dzieło Kopernika „O obrotach" i na fakt przeinaczenia, przerobienia przez wydawcę przedmowy do tej książki, będącej chlubą ludzkości. To już tak jest, że korektorskie żądania firm wydawniczych nacechowane bywają niekiedy zwyczajnym tchórzostwem. A strach przed konfliktem z opinią publiczną nie jest zbyt cenną podnietą twórczą.

Wracajmy do kwestii „Krzyżowców". Zofia Kossak nie zawahała się pokazać zbrodni i zła, które towarzyszyło dziejom pierwszej krucjaty. I to właśnie stało się kamieniem obrazy. Przyzwyczailiśmy się — a już szczególnie my w Polsce przyzwyczailiśmy się do mitologizowania przeszłości. Skoro postać jakąś, czy zdarzenie oceniamy dodatnio — to już chcemy w nich widzieć same tylko blaski.

Ta nieszczęśliwa praktyka zamazywania konturów prawdy historycznej weszła nam głęboko w krew. Ja tu nie chcę nikomu specjalnie dokuczać — nie dla złośliwości wcale zamierzam w jednym i tym samym artykule omówić i zestawić wystąpienia dwu pism światopoglądowo sobie nawzajem przeciwstawnych. Postąpię tak dlatego, by pokazać dowód rzeczowy, jak bardzo wszelkie mity drogie są polskiemu sercu.

Wspomniałem już o tym, iż wielu katolików polskich oburza się na autorkę, która o pierwszej krucjacie, napisała bezlitosną, brutalną prawdę. A teraz weźmy pod szkło pewne wystąpienie marksistowskiej „Kuźnicy", które wydaje mi się znakomicie pasować do pradawnych narodowych przyzwyczajeń.

W sierpniu br. (w numerze 204) „Kuźnica" — piórem Kandyda — oburzyła się na „Dziś i Jutro" za pewną wypowiedź na temat oceny roku 1863. Chodzi o to, że „Dziś i Jutro" wyrażając się bardzo ujemnie o inicjatorach tudzież przywódcach Powstania Warszawskiego w tym samym zdaniu odezwało się też ujemnie i o Powstaniu Styczniowym. „Jakimiż mocnymi wyrazami — grzmi Imć Kandyd — określić to stawianie znaku równości między uczniami Piłsudskiego, zdrajcami i prowokatorami z „dwójki" — a ludźmi roku sześćdziesiątego trzeciego". I dalej czytamy wielkie słowa o tych, co „nigdy nie wchodzili w konszachty z wrogiem".

Zaraz widać, że Kandyd wiedzę o wypadkach roku 1863 czerpie tylko i wyłącznie z obrazków Grottgera.

Co to w ogóle znaczy „ludzie roku sześćdziesiątego trzeciego"? To nic nie znaczy. Kogo bowiem ten pompatyczny zwrot ma nam na myśl przywodzić? Bohaterów — jak Traugutt, Sierakowski, Brzózka i inni — czy może dyktatorów z nieprawdziwego zdarzenia. Mierosławskiego i Langiewicza? Walecznych żołnierzy, czy może jegomości jak ten, który pojmawszy pewną kobietę, podejrzaną o szpiegostwo, bez dochodzeń i sądu przywiązał ją poziomo między czterema drzewami, napchał w jamy ciała suchej kory brzozowej i podpalił (doradzam lekturę pamiętników Wandalina Czernika, który o tem z odrazą pisze).

Założę się — stawiam „dolary przeciw orzechom" — że p. Kandyd w ogóle nie słyszał nazwiska Oskar Awejde. W przeciwnym bowiem razie byłby ostrożniejszy, z rozgrzeszaniem w czambuł „ludzi roku sześćdziesiątego trzeciego" od zarzutów prowokacji i zdrady i wchodzenia w konszachty z wrogiem.

Oskar Awejde grał w powstaniu rolę pierwszoplanową i bardzo wybitną. Był członkiem Rządu Narodowego, organizację potrafił obsadzić swoimi ludźmi. To on z ramienia Czerwonych prowadzi rozmowy z przedstawicielami kleru i pozyskuje ich dla organizacji. To on pertraktuje z reprezentantami Litwy i Rusi. To on redaguje powstańczy dekret o uwłaszczeniu chłopów i nadzieleniu bezrolnych ziemią.

W działalności Awejdy występuje pewna cecha dziwna i zagadkowa. Jest to człowiek niby umiarkowany — opowiada się za odłożeniem terminu powstania — zawsze posiada własne zdanie i zawsze ostatecznie godzi się współdziałać z tym kierunkiem który akurat wziął górę. Dzięki temu Awejde przetrwał wszystkie zmiany rządu. Współpracował kolejno i z Mierosławskim i z Langiewiczem, z Czerwonymi i z Białymi, zawsze posiadał znaczenie i wpływy. Uwięziony w Wilnie, pisze w warszawskim więzieniu niezwykle dokładne i ważkie „Zapiski o polskom wozstanji 1863 goda", w których informuje władze carskie o całej polskiej działalności przedpowstaniowej i powstańczej, o ludziach i zdarzeniach. Zeznania te rząd carski wydrukował w nakładzie kilkudziesięciu (zdaje się, że 40) egzemplarzy dostępnych tylko wybranym.

Spędziwszy w więzieniu trzy lata, Awejde odzyskuje wolność i w roku 1890 umiera we Wiatce, jako wzięty, zamożny adwokat.

A jak nazwać jego polityczną działalność? Czy na milę nie zalatuje ona prowokacją i zdradą (zdradził na rzecz cara, ale prowokatorem mógł być bismarckowskim, przybył do Polski z Niemiec)? I jak wygląda p. Kandyd, który w patriotycznym oburzeniu rozdziera szaty, z emfazą pisze o „ludziach roku sześćdziesiątego trzeciego" i sam nawet nie spostrzega, że w ten sposób postawił na jednym poziomie Romualda Traugutta, tudzież Oskara Awejde. Żałosne — swoją drogą — widowisko: pseudonim z Voltaire'a, a mentalność czysto „bronzownicza".

„Casus Awejde" bynajmniej w tajemniczych i dotąd niezbadanych dziejach roku 1863 odosobniony nie jest. Oto na przykład dziwne koleje życia i śmierci Stefana Bobrowskiego, powstańczego naczelnika miasta Warszawy, prawdziwego bohatera, człowieka niezmiernej prawości i odwagi. Bobrowski — należał do Czerwonych — mógł w powstaniu odegrać rolę bardzo wybitną i dodatnią, ale kiedy po aresztowaniu Langiewicza wydaje odezwę, zapowiadającą ponowne objęcie władzy przez Rząd Narodowy — zostaje przez niejakiego Adama hr. Grabowskiego wyzwany na pojedynek i ginie. Przypadek? Bardzo szczególny. Bobrowski był straszliwym krótkowidzem. To był prawie kaleka. Wada wzroku dyskwalifikowała go częściowo jako konspiratora, bo ten człowiek mógł nie odróżnić towarzysza roboty podziemnej od byle podstawionego szpicla. I taki kaleka zostaje wyzwany na pistolety! Bardzo dziwne okoliczności śmierci jednego z najwybitniejszych przywódców powstania... Już w tego rodzaju „przypadki" to ja nie jestem skłonny wierzyć. Tu wszystko raczej wygląda na uplanowaną robotę.

I teraz — czy ujawnienie w powieści, monografii albo artykule tych wszystkich zbrodni i zdrad w jakikolwiek sposób obniża szacunek należny Trauguttom, Padlewskim, Brzózkom? Czy splami sztandar ich chwały? W żaden sposób. Podobnie, jak nic na tym nie traci dekret o uwłaszczeniu chłopów, że ten kto go redagował okazał się marnym człowiekiem.

Ujawnienie całej prawdy przekona nas, że aczkolwiek łotrostwo i podłość potrafią się czepiać każdego działania zbrojnego — jak w ogóle każdej pracy ludzkiej — to jednak nie one bynajmniej decydują o wartości ostatecznych osiągnięć, nie one stanowią prawdziwą wagę zdarzenia.

Zofia Kossak przekonywuje nas, że krucjata była dziełem wielkim, pomimo zbrodni, popełnionych przez krzyżowców. Toż przecie w tej powieści jest wizja pochodu, który wprawdzie bluzga „ropą grzechu" ale sunie naprzód. Naprzód — nie w tył. Pomimo grzechu i hańby. Ja myślę, że w obrazie takim jest potężny ładunek optymizmu. Tylko, że optymizm to trudny, nie łatwy i nie banalny, jak cukierkowate kolorki, którymi radzi się posługują nasi domorośli mitotwórcy.

Paweł Jasienica

Czy pomyślałeś już o kupnie żłobka na Boże Narodzenie

Żłóbki wykonane w warsztatach „Ars Catholica" są ozdobą domów katolickich. Komplet złożony z 22 figurek 13 cm. wraz ze stajenką kosztuje 3.350.— zł.

Dla kościołów posiadamy na składzie większe komplety.

Prosimy żądać ofert.

Żłóbki są do nabycia w:

ARS CATHOLICA"

Katowice, 3-go Maja 30,

w Księgarniach św. Jacka w Bytomiu, Chorzowie, Gliwicach, Opolu, Zabrzu, Świętochłowicach i Cieszynie.

TYDZIEŃ

Nowy Zjazd

Rok bieżący odznacza się — na odcinku spraw kulturalnych specjalną obfitością narad pracowników rozmaitych gałęzi sztuki, podczas których zostają sprecyzowane zasady tak zwanego socjalistycznego realizmu. Odbyły się już narady plastyków, kompozytorów, dramaturgów, do tego rodzaju zjazdów może być zaliczane walne zebranie Związku Literatów w Szczecinie, w tym samym ciągu mieści się ostatni festiwal poznański.

Narady te służą marksistowskim politykom kulturalnym do pierwszej orki na artystycznej niwie. Nie należy oczekiwać, by siew rzucony w te pierwsze bruzdy — szybko wyrósł, ale wydaje się, że ziarna teraz siane wydadzą kłosy. Zjazdy te są formą łagodnej rewolucji artystycznej.

Uwagi te piszemy z okazji nowego zjazdu tego typu. Między 17 a 20 listopada zjechało się w Wiśle na zaproszenie Filmu Polskiego kilkudziesięciu przedstawicieli świata teatralnego, literackiego, artystycznego, a przede wszystkim filmowego, by radzić nad polską kinematografią. Referat wstępny wygłosił min. Sokorski. O samym zjeździe jeszcze napiszemy specjalnie — tutaj wypada nam jedynie uczynić jedną uwagę pod adresem Filmu Polskiego, czy nie czas byłoby pomyśleć — mając na uwadze dwadzieściakilka mlionów polskich katolików — o wyprodukowaniu filmu, o którymby powiedzieć byłoby można, iż jest to film: katolicki.

Wartościowe wznowienie

Państwowy Instytut Wydawniczy wypuścił nową edycję dwóch świetnych dzieł Kazimierza Przerwy-Tetmajera: „Janosik Nędza Litmanowski" i „Maryna z Hrubego".

Wydawnictwo Gustowski wydało II edycję znanej powieści Jana Dobraczyńskiego — „Wybrańców gwiazd".

O Mickiewiczu

Nader interesujące infromacje ogłasza Stanisław Gogluska w ostatnim numerze katowickiej „Odry". Otóż w Paryżu ukazało się nowe wydanie mickiewiczowskich „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa", jako czwarty z kolei tom serii „Klasycy polityki" wydawanej przez francusko - szwajcarski dom wydawniczy „LUF", a redagowanej przez profesora seminarium duchownego we Fryburgu, wybitnego tomistę ks. Charles Journeta. Przy okazji wydawca podał do wiadomości, iż dzieło Mickiewicza do niedawna jeszcze znajdujące się na indeksie kościelnym, zostało z niego ostatecznie skreślone. Co więcej nawet — duchowny komentator uznał za słuszne podkreślić, iż mimo błędów mesjanistycznych teorii, jednak publicystyczno - mesjanistyczne dzieła Mickiewicza były tymi, które położyły fundamenty pod gmach chrześcijańskiej polityki. Przy okazji jednak — i to należy już zanotować ze smutkiem i dezaprobatą — wydawca atakuje Polskę współczesną staje nawet w obronie wysiedlonych z Polski Niemców, i na marginesie „Ksiąg pielgrzymstwa" używa całego szeregu argumentów, aż nadto dobrze nam znanych z innych enuncjacji.

Ciekawy „Teatr"

Najpoważniejszy miesięcznik polski poświęcony sztuce dramatycznej „Teatr" — dotychczas cierpiał raczej na anemię i był — co tu owijać w bawełnę — poprostu nudny. Z

Film

„Gdzieś w Europie"

Tematem filmu jest los dzieci bezdomnych skrzywdzonych przez wojnę, małych przestępców, których warunki zmusiły do rabowania.

Akcja filmu rozpoczyna się w czasie wojny „gdzieś nad Dunajem". Widzimy gromadę obdartych włóczęgów maszerujących drogą i następnie skrótowe ujęcia pięciu sytuacji, które pięcioro dzieci pozbawiły domu, skazały na bezdomność. Widzimy jak tworzy się banda małych nędzarzy, widzimy jak głodni zaczynają rabować, wreszcie, ścigani przez policję, kryją się w ruinach zamku. Tam spotykają starego, skłóconego ze światem kompozytora, który powoli oswaja dzieci i wreszcie w momencie, w którym mają one stanąć przed sądem doraźnym za popełnione przestępstwa ratuje je od bezmyślnego wymiaru sprawiedliwości. Od nowych ludzi którzy na dole tworzą nowy świat uzyskuje dla bandy dom i opiekę nowego prawa.

Już to schematyczne streszczenie pozwala dostrzec, że film stwarza swój świat oparty na dwóch zasadach. Wybiera sytuacje jednostkowe, które pozostają w dostrzegalnym związku z realnym życiem. Pokazuje fragment losu określonej grupy dzieci tak, że zostają wyrażone w pewien szczególny sposób konflikty znamienne dla epoki i z drugiej strony daje rozwiązanie, które jest już jednorazowe, utrzymane w tonie: mogłoby się zdarzyć, że dzieje tej grupy dzieci rozstrzygnęły się w taki właśnie sposób.

Niejednolitość w komponowaniu całego filmu stwarza podział dość wyraźny na dwie części, więcej, na dwie pozostające w sprzeczności postawy artystyczne. Realistyczną, mówiącą o zdarzeniach, które są istotne dla wyrażenia rzeczywistości i fikcyjną, idealistyczną, w której czujemy, że pokazane zdarzenia nie mówią o istniejącym świecie, nie interpretują go, ale stwarzają własną realność, taką, jaka chciałby widzieć autor.

Ową część, którą nazwałam realistyczną jest zbudowana tak, że odrealnienie, które wyraźnie następuje od epizodu zamkowego, zostało przygotowane.

Grupa dzieci od pierwszej chwili została wyizolowana bardzo precyzyjnie. Pokazano w pierwszych pięciu fragfentach te sytuacje, które skazały poszczególnych bohaterów na samotność. Ta samotność zresztą jest tam jeszcze naturalna, więcej, jest niezbędna. Natomiast już specyficznym chwytem jest to, że we wszystkich tych pięciu epizodach dziecko pozbawione rodziny znajduje się w pustce, (ani Piotr niosący swojego towarzysza, ani mała dziewczynka po egzekucji, ani Kouksi nie napotykają na drodze nikogo). Ta samotność jest rozwiązana dosłownie: dziecko opuszczone wobec pustki na bezludziu. Wędrujący Piotr na wyludnionej drodze napotyka tylko dzieci. Banda porusza się w idealnej pustce, w scenach rabunku jedynie widzimy epizodycznie innych ludzi.

Drugim procesem odrealnienia jest wolne odrywanie akcji od czasu. Bombardowania, strzały, egzekucje, wszystko to co pokazano w początkowych pięciu scenach określają czas mówiąc o wojnie, ale już wędrówka dzieci odbywa się w czasie pozawojennym, uogólnionym, nieznanym. Nikt z małych włóczęgów nie interesuje się zewnętrznymi wypadkami, nikt z nich nie mówi o wojnie. Uogólnienie czasowe, obojętność wobec historii nabiera charakteru szczególnie nieprawdopodobnego w drugiej części filmu. Muzyk, który ma kontakt ze światem, który rozmawia z dziećmi, wpływa na nie, troszczy się ich losem, żyje również jak one oderwany od czasu. Nie interesuje się wypadkami wojny, która przecież skłóciła go ze światem. O tym, że Berlin został okrążony mówi przedstawiciel faszyzmu. Słowa muzyka w epizodzie końcowym, że buduje się na dole nowy świat, że już wojna się skończyła, jest nieoczekiwanym chwytem powrotu historii, związania fikcji z rzeczywistością.

Trzecim procesem odrealniania jest stopniowo następująca idealizacja bandy. Od początku zostają podkreślone szlachetne odruchy Piotra, pozytywne cechy zespołu, dopiero jednak w drugiej części następuje idealizacja naiwna i konwencjonalna, stopniowe pasowanie dzieci na bohaterów. Idealizacja zarówno przez wydobycie epizodów ujawniających szlachetne cechy dzieci, jak co gorsza przez słowa. Szczególnie uderzający jest problem dialogu. W pierwszej części można powiedzieć, że wprowadzono prawie wyłącznie dialog dramatyczny związany z sytuacją, ubocznie tylko spełniający funkcję charakteryzującą. W drugiej części znamienna staje się przewaga dialogu statycznego o funkcji prawie wyłącznie charakteryzującej. Dodać należy, że druga część nie wzbogaca w niczym naszej wiedzy o dzieciach, przeciwnie mówi o tych samych znanych już cechach bandy stwarzając jedynie nowe i mniej przekonywujące sytuacje. Wprowadzony dodatkowo wątek Ewy wydaje się rażący tym więcej, że byłby uzasadniony w początkowym skrócie indywidualnych epizodów. Wprowadzenie retropektywnego opowiadania bardzo uproszczonego psychologicznie w drugiej części wydaje się błędem.

Ta analiza elementów, które uważam za chybione, celowo odrywa koncepcję scenarzysty od ostatecznego kształtu filmowego.

Zanim przystąpię do sformułowania dlaczego chciałabym stwierdzić, że uważam iż „Gdzieś w Europie" jest jedynym z najwybitniejszych filmów powojennych.

Sformułowania negatywne w stosunku do scenariusza, jego nierealistycznych założeń pozwalają dostrzec jak wielki w tym wypadku wpływ na ostateczną postać filmu miał reżyser.

Użyte środki ekspresji filmowej w niezwykle ciekawy sposób wypełniły laboratoryjną próżnię czasu przestrzeni i środowiska ludzkiego związały akcję filmu z konkretną rzeczywistością.

Najłatwiejszym chwytem jest nagromadzenie realiów w tym wypadku ujętych bardzo subtelnie, plastycznych (ruiny, szczury uciekające, okulary, które wkłada wyrzucony z pociągu chłopczyk) i dźwiękowych (strzały, efekt melodii z maszyny grającej w lunaparku, odgłosy walących się domów, krzyk dzieci, odgłos łopaty na cmentarzu, skrzypienie drzwi) — Chwyty typowo naturalistyczne, (sceny jedzenia i głodu, rozpięta bluzka Ewy, czyszczenie się i uwalnianie od robactwa na zamku itp).

Wymowna symbolika, plastyczna jak ów motyw żołnierskich nóg, strach dziecka w epizodzie lunaparku, epizod krzyża na cmentarzu i muzyczna (motyw marsylianki, werbla, radzieckiej piosenki wojskowej).

— Ciekawe a nie formalistyczne pełne znaczenia uczuciowego i wymowne ujęcia filmowe jak np. zdjęcie od dołu grup ludzi przed egzekucją i ruch kamery skośny, taki sam jak ruch podnoszących się do strzału karabinów, zdjęcia nóg na wysuszonej, popękanej ziemi, zbliżenia twarzy dzieci w scenie na cmentarzu i światło.

— Doskonały montaż, (koła pociągu i wagony, operowanie kontrastami i zmianą tempa).

— Wybór wykonawców, wyzyskanie naturalności dzieci, interpretacja nawet najtrudniejszej sztucznej postaci Piotra, ujęcia ekspresji poszczególnych twarzy.

Reżyser i operator potrafili stworzyć sugestywną i bardzo piękną wizję świata i wprowadzić w ten sposób aluzje do znanych doświadczeń uczuć i faktów, że nawet najbardziej poetyckie wyraźnie fikcyjne wątki scenariusza uzyskały konkretność i siłę ekspresji artystycznej.

LESZCZ

Jerzy Artemski

NIEUDANE NOWATORSTWO

Bogdan Korzeniewski, autor ostatniej scenicznej edycji komedii fredrowskiej „Mąż i żona"*) ogłosił w programie do spektaklu artykuł pt. „Komedia omyłek krytycznych". Już sam tytuł wskazuje wyraźnie temat rozprawy będącej jednocześnie komentarzem reżysera do spektaklu. Korzeniewski wchodzi między Kucharskiego i Boya i powiada: żaden z was nie ma racji, Pan, panie profesorze, jesteś tylko badaczem — pan, drogi autorze „Flirtu z Melpomeną" tylko krytykiem. Wasze głosy nie wystarczą. Ostatnią instancją musi być teatr — to znaczy ja, Bogdan Korzeniewski.

Ano... posłuchajmy cierpliwie salomonowego wyroku.

„Nie wydaje się istotnie, aby (Fredro) chwytał za dyscyplinę i przez trzy akty chłostał swoich bohaterów. Jest to raczej supozycja prof. Kucharskiego. Ale nie wydaje się również, aby dawał tylko upust „młodzieńczej jurności i zuchwalstwu" i wyznawał jedynie „prastary morał Erosa". Jest to raczej supozycja Boya".

A co się wydaje?

„Może... jak się to zdarza najczęściej, prawda leży nie pośrodku, ale w ogóle gdzie indziej, na drogach jeszcze nie wydeptanych".

Bogdan Korzeniewski, pionier i odkrywca postanawia wydeptać tę nową drogę. Jest to jego obowiązkiem, bo teatr... „musi pod grozą popadnięcia w komunał, w fałszywą „teatralność", wytworzyć sobie bardzo dokładny obraz tego świata, który podsuwa sztuka".

Deptanie jest krótkie: w „Mężu i żonie" zachowana jest jedność czasu. Akcja komedii zaczyna się w sobotę o godz. 18 minut 15, najwyżej 20, a kończy w niedzielę około 13.30. I oto „zbliżyliśmy się na krok do tego, co nazywamy, dotąd (t. zn. do odkrycia B. Korzeniewskiego — przyp. mój) raczej na podstawie intuicji, „realizmem Fredry". Ponieważ realizm tkwi „w organizacji artystycznej" Fredry, nie musi on „wysilać się na szczegółowe informacje". Bogdan Korzeniewski widzi je i tak znakomicie. Wie, jaka jest pora roku, jaka pogoda. „To świat. Cóż dopiero mówić o ludziach".

I wreszcie wnioski: „Fredro posiada zdumiewającą konkretność widzenia świata". „Mąż i żona" pozwala określić stosunek Fredry do ukazywanego świata. Nie brak w niej uczuć i myśli pisarza. Komedia ta jest również satyrą..."

Jakich uczuć, jakich myśli, na co satyrą?... O tym ani słowa. Słusznie — o tym mówi tekst komedii. Dowiemy się za chwilę, gdy kurtyna pójdzie w górę.

Słuszne jest przekonanie, że trzeba „szukać prawdy". Jakże się to więc stało, że Bogdan Korzeniewski niewiele znalazł w „Mężu i żonie"?

Bo, powiedzmy otwarcie: słuszne zdanie o nowych perspektywach, teza o konieczności szukania prawdy stały się zasłoną dymną, kryjącą inne założenie. Niewymieniony z imienia realizm koncepcji reżyserskiej miał usprawiedliwić wydobycie z „Męża i żony" pewnych smaczków.

Jakież to smaczki?

Akt pierwszy komedii kończy się w ten sposób, że Justysia i Alfred znikają za kulisami sceny. Dzieje się to wbrew woli Fredry, który pisze wyraźnie: „Alfred goni za Justysią pomiędzy krzesła; zasłona spada".

Zakończenie Fredry nie odpowiada reżyserowi. On ma inne zamysły. Woli wyprowadzić frywolną parę za kulisy po to, by akt II zacząć od sceny, w której Justysia wyprowadza Alfreda zza kulis i wypuszcza przez okno. Akt I to sobota, godz. 18.15. Akt II to niedziela, godz. 10. Znaczy się, że Justysia wciągnęła Alfreda do swego pokoju, w którym oboje spędzili całą noc i oto teraz, na drugi dzień, o godz. 10 rano puszczalska służąca wyprowadza swojego kochanka przez okno. W tej sytuacji w chwilę później wypowiedziane przez Justysię słowa:

„Nie ma co myśleć, już wybór [zrobiony:

Wacław zostaje, Alfred oddalony".

nabierają specjalnego znaczenia. To już nie jest zabawa, to albo wyuzdanie, albo świadectwo, iż Alfred nie zdał egzaminu poprzedniej nocy.

Tak wygląda prawda znaleziona przez Korzeniewskiego. Taki rezultat dało szukanie prawdy „w bardzo określonych warunkach historycznych i bardzo określonych warunkach społecznych".

Nie ulega wątpliwości, że Korzeniewski każde swoje pociągnięcie reżyserskie uzasadnił tekstem komedii. Przejście od aktu I do II umotywuje słowami Alfreda z V sceny II aktu:

„Żem był jej mistrzem w nauce kochania".

Czy aż tak serio należy rozumieć te słowa?

Kilka wierszy wcześniej mówi Alfred:

„I tak mnie kocha to niewinne dziecię"...

Więc?...

Zresztą, czy to jest naprawdę takie ważne, jak sobie wyobraża Korzeniewski noc Justysi i Alfreda?

Gdyby nie artykuł w programie, nie kruszyłbym o to kopii. Powiedziałbym sobie: każdy szuka tego co lubi. Klasycy dramatu zdążyli się już w grobie przyzwyczaić do wielu różnych dziwactw wyczynianych z ich twórczością. Powstało takie niepisane prawo: mianowano cię klasykiem, to znaczy straciłeś przywilej obrony swych praw autorskich — wolno cię poprawiać i zmieniać.

Nawet rzadko i tylko w zbyt rażących wypadkach oponuję przeciw temu.

Tutaj jednak rzecz się ma inaczej. Korzeniewski nie bierze odpowiedzialności na siebie za francuski system miłosnych nocy w entraktach, za bardzo brutalne podciąganie spódnicy Justysi przez obu jej adoratorów. Korzeniewski woli te sceny zapisać na rachunek Fredry. Po to stwierdzona została „konkretność widzenia świata" u autora „Męża i żony". U Fredry — pisze reżyser — „człowiek stając się postacią, nie traci swej wieloznaczności i nie zostaje odgadnięty do końca".

Czyli, że Justysię odgadł dopiero Korzeniewski, ale w naukowym, badawczym porozumieniu z czasem, który odsłonił „prawdy ukryte".

Te „prawdy ukryte" dostrzegł Korzeniewski, bo właśnie „otworzyły się nowe perspektywy na wielkich pisarzy".

**

„Mąż i żona" nie należy do rzędu łatwych prac dla reżysera. I może dlatego tak skromnie ilościowo przedstawia się wykaz realizacji. Spór Kucharskiego z Boyem wzbudził żywsze zainteresowanie tą komedią. Próbowano wprowadzić ją znowu na scenę. Z różnym powodzeniem. Wydaje się, iż najszczęśliwszy pomysł miał Adam Polewka, który dla krakowskiego teatrzyku „Cricot" dorobił wierszowany prolog, międzyakty i epilog, oddając w tych wstawkach dość wiernie zasadnicze elementy sporu prof. Kucharskiego z Boyem.

Katowickie i krakowskie powojenne już wznowienie inscenizacji a la „Cricot" spotkały się z dużym uznaniem widowni. Uznanie było zasłużone. Widz oglądający komedię z obu jej zakończeniami, wprowadzony w krańcowe o niej pojęcia krytyków, ogarnia całokształt sprawy. Nie znaczy to wcale, by dodatki Polewki były idealne. Autor ich nie potrafił zachować pełnego obiektywizmu i mimowoli sugeruje, iż rację ma Boy. Mimo to od czasu 1938 r. nikt nic lepszego nie wymyślił. Po swojemu robił Sawan — ale nie ogłaszał tego za wynalazek. Po swojemu chciał zrobić Korzeniewski.

Nie chcę wcale twierdzić, że nic tylko Polewka. Nie mam zamiaru wstrzymywać od dalszych poszukiwań. Szukajcie, szukajcie... na innej jednak drodze, niż to uczynił Bogdan Korzeniewski.

Jest niesłychanie trudno oceniać pracę aktorów występujących w sztuce, której koncepcja została wypaczona przez reżysera.

Tak jest i tutaj. Nie widziałem Justysi. Widziałem p. Justynę Karpińską, która z woli reżysera zabłąkała się z innego świata w świat Fredry. Nie widziałem Alfreda, dandysa z początku XIX stulecia; zamiast niego na scenie pojawił się p. Czesław Wołłejko w roli współczesnego lowelasa. Oczywiście działo się tak absolutnie nie z winy sympatycznych wykonawców.

Wacław i Elwira (Jan Kreczmar i Janina Romanówna) byli znacznie bliżsi naszym pojęciom o Fredrze. Zwłaszcza Romanówna wspaniałymi naddatkami do wdzięcznej roli zachwyciła widownię.

Zenobiusz Strzelecki nie wysilił się zbytnio przy scenograficznym opracowywaniu spektaklu.

Jerzy Artemski

*) Warszawa, Teatr „Kameralny".

KULTURALNY

tym większym uznaniem należy powitać numer 9/49, poświęcony w całości współczesnemu dramatowi. Poza interesującymi artykułami Edwarda Csato i J. J. Szczepańskiego — do których jeszcze powrócimy, by z nimi podyskutować — numer zawiera streszczenie obrad dramaturgów w Oborach. Streszczenie to nasuwa uwagę o stosunkowo małym udziale w tych naradach czynnika dla naszego teatru właśnie najważniejszego: autora dramatu. Coś nie jest w porządku, jeżeli na 32 mówców zabierających głos w dyskusji odezwało się jedynie 9 pisarzy, których sztuki oglądaliśmy (Ważyk, Wirski Rusinek, Kruczkowski, Świerszczyńska, T. J. Dybowski, Dobrowolski, Pomianowski, Kubacki) i to — bądźmy szczerzy — odezwali się pisarze dość świeżo związani z rzemiosłem teatralnym, którzy — poza dwoma, trzema — nie mogą pochwalić się naprawdę wartościowymi osiągnięciami. A gdzież głosy takich majstrów scenicznych, jak Szaniawski, Zawieyski, Grzymała - Siedlecki, Morstin (przebaczmy „Zakon krzyżowy"). Drukowane w tym samym numerze „Teatru" zestawienie sztuk polskich granych po wojnie ustala, że najwięcej wystawień po wojnie miał Szaniawski, który w rozmaitych ujęciach statystyki teatralnej był w ciągu czterech powojennych sezonów stale na czele lub w czołowej grupie dramturgów. Podczas dyskusji w Oborach nie usłyszeliśmy głosu ani Schillera, ani Szyfmana, ani Krasnowieckiego, ani Warneckiego, ani... długo by wyliczać nazwiska wybitnych reżyserów, którzy nie przemawiali.

Z zestawienia ogłoszonego w tymże „Teatrze" wynika, że w ciągu czterech sezonów po wojnie graliśmy 472 polskie sztuki retrospektywne(to jest nie współczesne), 114 wznowień współczesnych i 217 polskich premier powojennych. Ogółem wystawiono 752 sztuki autorów polskich i 785 sztuk zagranicznych (w tym 572 klasycznych lub wznowionych). Ogółem po wojnie grano na polskich scenach 131 polskich autorów współczesnych, z których większość nie docierała jednak do czołowych, stołecznych i w dużych miastach, scen polskich święcąc jednak niemałe sukcesy na prowincji. Najczęściej wystawianą była sztuka Cwojdzińskiego „Człowiek za burtą"; potem — w kolejności — „Strzały na ulicy Długiej" Świrszczyńskiej i „Dwa teatry" Szaniawskiego; „Trasa" Barnasia i „Sprawa Moniki" Morozowicz - Szczepkowskiej; „Zamach" Brezy i Dygata, „Moja żona Penelopa" — Gozdawy i Stępnia, „Ich dwóch" Niewiarowicza i „Rozdroże miłości" Zawieyskiego (cztery ostatnie sztuki każda wystawiana w ośmiu teatrach).

W okresie wrzesień — grudzień 1949 r. teatry mają zamiar wystawić 22 sztuki polskich autorów współczesnych w tym 10 prapremier. Wśród pozycji zamierzonych brak jakiejkolwiek sztuki Zawieyskiego i Szaniawskiego.

Jubileusz „Tarełkina"

Świetna sztuka klasycznego repertuaru radzieckiego „Śmierć Tarełkina", A. Suchowo - Kobylina, od szeregu miesięcy w Teatrze Rozmaitości porywająca publiczność warszawską humorem sytuacyjnym i tęgością satyrycznego chwytu, niebawem święcić będzie jubileusz swego powodzenia, osiągając dnia 18 listopada pięćdziesiąte przedstawienie. Urok sztuki w pomysłowej inscenizacji i świetnej grze artystów Teatru Rozmaitości, wróży jej długi jeszcze dalszy żywot sceniczny.

Wędrówki po scenach polskich

FALSTAFF PO RAZ DRUGI — CZY FALSTAFF Nr 2

That is the question. Odpowiedź skomplikowana, bo z reguły, wobec braku konkretnej wypowiedzi autora, musi się opierać na subiektywnych sądach badaczy. Jeden tor rozumowania rodzi się z kilku przesłanek merytorycznych. To samo nazwisko, ta sama charakterystyka zewnętrzna postaci, pozornie identyczne cechy usposobienia każą niektórym twierdzić, iż wprowadzone tu zostały przez Szekspira poszczególne etapy kariery sir Johna. Pojawia się ów prototyp Zagłoby, jedna z najkapitalniejszych postaci w literaturze dramaturgicznej, w pierwszej części „Henryka IV". W części drugiej tegoż dramatu staje Felstaff u szczytu swojej kariery, przesłaniając chwilami postać głównego bohatera dzieła. Krytyczny przełom w zakończeniu „Henryka IV" zwiastuje okres upadku. Jesteśmy jego świadkami w „The Merry Wives of Windsor". Potem może nastąpić już tylko zakończenie dziejów — śmierć, o której dowiadujemy się w „Henryku V".

Przeciwnicy tej koncepcji oburzają się na takie rozumowanie, twierdząc, że przynosi ono krzywdę Falstaffowi nr 1, że umniejsza wspaniałość tamtej postaci. W „Henryku IV" i w „Wesołych kumoszkach" występują dwie różne osoby pod tym samym nazwiskiem. Wskazują na to zdecydowane różnice w psychicznej strukturze bohaterów, w klimatach, w jakich autor każe działać obu postaciom.

A na to pierwsi: nie ma różnicy charakterów. Falstaff z „Kumoszek" jest prawdziwym Falstaffem, tylko nieco niepełnym. Stało się tak na skutek pośpiechu, w jakim Szekspir tworzył historię pań Ford i Page. Tylko dwa tygodnie dała mu na to królowa Elżbieta.

Tu w zasadzie dyskusja się urywa. W grę miast argumentów wchodzą legendy, twierdzenia zaczynające się od słowa: podobno.

Skończyła się dyskusja — pozostało pytanie. Trzeba by chyba (znowu zdanie bardzo subiektywne) odrzuciwszy balast profesorskiej apodyktyczności opowiedzieć się za tezą dwu Falstaffów. Zasadnicza różnica między zawiedzionym przyjacielem króla, a ukazanym zalotnikiem, polega na tym, że pierwszy drwi w żywe oczy z całego otoczenia, drwi nie tylko wtedy, kiedy wygłasza cyniczne sądy o honorze, ale i wtedy, kiedy mówi bardzo uniżone na pozór pochlebstwa, a drugi sam staje się przedmiotem drwiny.

Czy mógł tak daleko postąpić upadek? Wydaje się, że nie. Wydaje się, że Falstaff nr 1 może dojść do stanu, w którym jego prześmieszki przestaną być dla otoczenia atrakcją, kiedy stępi się ostrze jego dowcipu — nie wygląda on nam jednak na to, by mógł stać się pośmiewiskiem. Przysłowia typu „kto pod kim dołki...", albo „nosił wilk razy kilka..." nie mogą być tu argumentem. Nie pasują. Psychiczne załamania, względy czysto fizyczne (różnica wieku) mogą zmniejszyć zdolność do zastawiania pułapek ale nie potrafią chyba narzucić zupełnej ślepoty, nie pozwalającej dostrzec grubo plecionej intrygi. Rzekomy pośpiech Szekspira niczego tu nie tłumaczy.. Geniusz, jeśli mu na tym zależy, potrafi kilkoma liniami narysować portret lepszy od niejednego cyzelowanego rysunku.

Skąd więc nazwisko to samo? O to pytać można chyba tylko królową Elżbietę, jej to bowiem był kaprys.

Historia Falstaffa Pierwszego wskazuje na to, iż wyrósł on na olbrzyma z przypadku. Zamierzony na postać epizodyczną, nabrał takiego tupetu, że sam pokierował swoimi dalszymi losami, że zażądał właściwie dla siebie oddzielnej sztuki i można by nie bez słuszności wyodrębnić tytułami obie części „Henryka IV". Można by pierwszej pozostawić imię królewskie, a drugą przechrzcić i nazwać ją „Falstaff".

Historia Falstaffa Drugiego jest mniej skomplikowana. Powstał on jako środek do osiągnięcia innego celu, jako ofiara, kosztem której przekaże się światu tezę, że żona wesoła to niekoniecznie żona niewierna. A może... (jeśli wolno nam trochę puścić wodze fantazji), może w tym wyraźnym zróżnicowaniu postaci kryje się kapryśna zemsta na królowej: oto jest wasz Falstaff, Najjaśniejsza Pani... (a po cichu): ten na zamówienie. Prawdziwy mógł powstać tylko na zlecenie inne, na zlecenie mojego natchnienia.

Falstaff-zalotnik ukarany, to tylko drugi motyw „Wesołych Kumoszek". Pierwszy, główny oddaje ster akcji w ręce dowcipnych a uczciwych, złośliwych, ale nie złych dam w osobach pani Ford i pani Page.

Komedia mimo pozorów naiwnej prostoty, zawiera duże bogactwo wątków. Tkwi przecież w niej obok wyżej wspomnianych, ostra satyra na zbyt zazdrosnych mężów, znajdziemy tu odpowiedź na pytanie czyjego głosu ma słuchać młoda panna, wybierająca przyszłego męża: ojca, matki czy głosu serca. Przekomiczne dzieje zalotów Cajusa i Chudka, zwycięstwo Fentona — oto prosty wykład poglądów Szekspira na to zagadnienie. Komedia zbudowana jest prosto. Sytuacje sceniczne rażą czasem zbytnią, jakbyśmy to dziś powiedzieli „łopatologią", mimo to każde wznowienie „Wesołych Kumoszek", bądź w ujęciu tylko dramatycznym, bądź jako opera buffo z muzyką Nicolai'a, budzi zawsze zainteresowanie do tego nawet stopnia, że są i tacy jej wielbiciele, którzy przekładają ją nad „Wiele hałasu o nic", nad „Jak wam się podoba", ba, nad „Wieczór trzech króli".

Realizację Ryszarda Ordyńskiego oglądamy już po raz drugi: najpierw w „Placówce", obecnie, przestrzennie nieco rozbudowaną, z nielicznymi zmianami w obsadzie w Teatrze Polskim. Realizacja jest dowcipna, logiczna, nie pozbawiona uroku, może jednak trochę zbyt celebrowana, co wprowadza niekiedy element przewlekłości, utratę tempa zagrażającą lekkim znudzeniem. A przyśpieszyć dałoby się dużo i z korzyścią.

Zasadnicza dla obsady jest wymiana odtwórczyni roli pani Ford. Zofia Lindorfówna wprowadziła swą bardzo dobrą kreacją właściwą hierarchię tematów: naprzód my, kumoszki — później wy, mości Johnie. W „Placówce" ta sprawa wyglądała znacznie gorzej — spektakl był wywrócony do góry nogami: niemrawe kumoszki płatały figle całkiem do nich nie podobne. O innych wykonawcach mówiliśmy w ubiegłym sezonie.

Jerzy Artemski

Radio

Z notatnika radiosłuchacza

Konkurs wrześniowy na recenzję radiową dał tak pomyślne wyniki, że komisja konkursowa postanowiła nie tylko podwyższyć wysokość nagród (pierwsza nagroda wynosi obecnie 15.000 zł), ale i powiększyć ich ilość. Zostały przyznane dwie pierwsze nagrody, trzy drugie i trzy trzecie — w ten sposób łączna suma nagród podniesiona została do ośmiu. Pierwszą nagrodę pierwszą (nie można tej terminologii uznać za najprostszą) otrzymał Karol Stromenger, Łódź; drugą nagrodę pierwszą Joanna Drzymałowa, Rogoźno Wielkopolskie. Nagrody drugie (po 10.000 zł) otrzymali: Hanna Lucowa, Zakopane; Adela Oszyn, Zabrze; Maria Kalatówna, Włocławek — nagrody trzecie: (po 7.500 zł) Bohdan Wojdanowski, Warszawa; Józef Kulisz, Bzinica Nowa (woj. Śląskie); Karol Koziński, Szczękocin. Ponadto wyróżnione zostało 16 prac.

„Radio i Świat" pisząc o konkursie stwierdza, że: „Jakość i ilość nadesłanych recenzji wskazują na zacieśnienie więzi pomiędzy słuchaczami a radiem, na wzrost zainteresowania audycjami, na stosunek krytyczny do nich, na żywość reakcji. Coraz śmielej wypowiadają się słuchacze, coraz wyraźniej formułują się obiektywne sprawdziany, oceny — i to nie tylko wśród fachowców, obeznanych z umiejętnością literackiego władania piórem, ale i wśród tych osób, których wypowiedzi zdradzają pewne niedociągnięcia formalne, ale mimo to uderzają trafnością sądów, świeżością spostrzeżeń i szczerością wypowiedzi".

***

W środę 16 listopada zostało nadane słuchowisko „Stalingrad" („Radio i Świat" nie podaje żadnych informacji o jego opracowaniu i wykonawcach). Jego temat pozwalał na różne ujęcie. W słuchowisku jakie usłyszeliśmy możnaby wyróżnić trzy zasadnicze, skontrastowane części. W pierwszej (obrona Stalingradu) tempo akcji jest wolne, nacisk położony jest na zarysowanie sylwetki żołnierza radzieckiego, w drugiej (atak), w czasie której akcja dzieje się po stronie niemieckiej, montaż jest szybki, tempo wzrasta by wreszcie w trzeciej części znów ulec zwolnieniu. „Stalingrad" ma formę epizodów połączonych oprawą muzyczną i komentarzem określającym czas i miejsce akcji i informującym o ogólnym przebiegu działań wojennych. Twórcy słuchowiska postawili sobie za zadanie przedstawienie całokształtu dziejów Stalingradu. Ograniczenie w czasie jednej godziny spowodowało konieczność dużych skrótów. W ten sposób ciężar prowadzenia akcji spadł na komentarz, który opisując nie służy jedynie dla połączenia epizodów lecz dominuje — poszczególne epizody są jego ilustracją. Słuchowisko to można określić jako wielki reportaż radiowy, rodzaj audycji dokumentarnej.

Recenzent filmowy omawiając film jest w tym szczęśliwym położeniu, że mógł on go (i powinien) zobaczyć kilkakrotnie, mógł wyrobić sobie opinię opartą na szczegółowej analizie. Podstawową trudnością oceny audycji radiowej jest to, że w olbrzymiej większości wypadków słyszy się ją tylko raz jeden, że poszczególne jej elementy mogą pozostać niezauważone i pominięte w ostatecznej ocenie. W konsekwencji sąd opiera się nieraz na trudnych do zanalizowania „wrażeniach" które często dominując i przesłaniając właściwy obraz nabierają nieproporcjonalnie dużego znaczenia. Decydują one niejednokrotnie o opinii słuchacza (vide uwagi w poprzednim tygodniu). Zagadnienie to stanowi istotną trudność dla krytyki która chce postulować, gdy opinia musi być dokładnie umotywowana, a błędy poddane szczegółowej analizie.

Nasuwa się wniosek, że słuszne byłoby, dla przeanalizowania audycji o dużym ciężarze gatunkowym wprowadzenie — tak, jak to już miało miejsce w wypadku „Stalingradu" — specjalnych dyskusji w czasie których jednak, gdyby okazało się, że jednorazowe odtworzenie audycji nie wystarcza dla sprecyzowania sądu, istniałaby możliwość powtórzenia jej fragmentów (czy całości nawet) pozwalająca na dokładne poznanie wszystkich czynników stanowiących o ostatecznej postaci.

Dyskusje te miałyby również zastosowanie dla analizy audycji typowych. Tak np. transmisja wystawianych obecnie w Warszawie „Niemców" Kruczkowskiego (nacisk położony tam na słowo pozwala przypuszczać o radiofoniczności), która, sądzę, ze względu na aktualny temat tej sztuki nastąpi w najbliższym czasie, mogłaby służyć za temat do dyskusji nad zagadnieniem celowości tego bardzo ciekawego eksperymentu, jakim jest postawienie teatru przed mikrofonem, zagadnieniem formy takich transmisji, określeniem radiofoniczności sztuki teatralnej itp.

W poprzednim tygodniu poruszałem sprawę omówień programu Radia Polskiego, przeprowadzanych przed mikrofonem. Wydaje się, że jedną z form tego rodzaju audycji, formą którąby, sądzę, budziła zainteresowanie przez związanie omówienia z konkretnym tematem byłaby dyskusja przeprowadzana bezpośrednio po audycji omawianej (wybranie np. krótkiego 20 — 30 min. słuchowiska po którym następne 15—20 min. przeznaczone byłoby na dyskusję o nim)

LESZCZ

BŁĘDY NA TRUDNEJ DRODZE

(dokończenie ze str. 5)

Doceniając wagę pracy teoretycznej, podejmując ją i walcząc o jej planową organizację, uważamy, że przyszłość reprezentowanej przez nas ideologii zależy nie tylko od jej doktrynalno-teoretycznego poziomu, ale i od wywalczanych warunków jej realizowania. Uważamy też, że sytuacja współczesna nie pozwala katolikom na wyeliminowanie się z rzeczywistości i oddanie wyłącznie studiom teoretycznym, odkładając realizację ich wyników do momentu wypracowania syntezy. Zajczniewski słusznie podnosi sprawę pracy teoretycznej, której znaczenie nie zawsze bywa wśród katolików doceniane. Jednakże potrzeba intensyfikacji naszej działalności w tej dziedzinie nie może prowadzić nas do mylnego wniosku, ujmowania teorii i praktyki jako dwóch etapów działania. Twierdzimy, że jedynie ich równoległość i możliwie ścisła współzależność jest wyrazem trafnej realizacji postawionego zadania.

***

Wypada jeszcze omówić problem hurraktywizmu. Hurraktywizmem nazywa Zajczniewski, przerosty aktywizmu, jakim ulegają niektórzy młodzi katolicy „Spragnieniu intensywnego działania", przez które chcą zagłuszyć wszelkie wątpliwości i niepokoje. Spróbujmy określić ściślej co my rozumiemy pod pojęciem hurraaktywizmu. Nazwiemy nim działanie bez przemyślenia i równoległego pogłębiania własnej postawy ideowej, aktywizm niewmontowany lub zbyt powierzchownie i płytko wmontowany w całokształt problemów ideologii, której chce się służyć. Taki aktywizm jest zazwyczaj szkodliwy, nietwórczy i na bardzo krótką metę obliczony. Nie należy on do podstaw, które można propagować, a jeśli istnieje, trzeba nań oddziaływać wychowawczo.

Trzeba jednak dodać, że zarzut hurraaktywizmu wymierzony jest w nieznanych bliżej adwersarzy. Jeśli bowiem Zajczniewski mówi o postawie takich czy innych jednostek, to można się z nim zgodzić, że istnieją ludzie, którzy tej postawie ulegają. Gdy natomiast mówi o jakichś niewymienianych bliżej z imienia „kołach młodokatolickich", cierpiących na przerost aktywizmu i to kołach pośpiesznie się deklarujących i przez swój prymitywny aktywizm pragnących „zagłuszyć wszelkie wątpliwości i niepokoje", to trudno doprawdy wiedzieć komu konkretnie taki zarzut jest stawiany. Nie widzimy bowiem w Polsce żadnego zespołu młodych katolików, który pośpiesznie się deklaruje i „zagłusza wątpliwości i niepokoje".

W imię konsekwencji należało więc raczej albo ograniczyć zarzut do postawy jednostek, albo, gdy się mówi o kołach młodokatolickich odkryć przyłbicę przeciwnika. Niechby się wówczas hurraaktywiści bronili.

Wiadomą jest jednak rzeczą, że zespół „Dziś i Jutro" w swej znacznej części składa się z ludzi młodych. Wiadomym jest również, że zespół ten jest zespołem ideowo-politycznym. Stąd też wobec nieokreślenia przez Zajczniewskiego przedmiotu jego zarzutu, może powstać przypuszczenie, że zarzut ten jest skierowany właśnie w stronę naszego zespołu. Mam głęboką świadomość, że przekonanie takie jest mylne i niezgodne z intencją autora „Zadania numer jeden". Nie intencja autora, lecz konstrukcja artykułu i jego sformułowania przesądzają — czasem wbrew zamiarom o społecznych skutkach wypowiedzi. Dlatego te możliwe, aczkolwiek niezmierzone skutki domagają się pokwitowania z naszej strony.

Nie hołdujemy hurraaktywizmowi i nie topimy w nim naszych niepokojów i wątpliwości. Pośpieszne deklarowanie się jest nam dalekie, natomiast w pełni przemyśleń wyciągamy konsekwencje z wniosków, jakie narzuca nam diagnoza współczesnej problematyki społecznej polskiej i światowej. Ta właśnie diagnoza narzuciła nam głęboko przemyślane i przepracowywane postulaty socjalistyczne w naszych sformułowaniach ideowych. I ona też każe nam wyraźnie stanąć po stronie tego świata, który stawia sobie za zadanie ich realizację, a nie po stronie czynników tej realizacji przeciwnych. Nie zamazujemy przy tym odrębności i silnie podkreślamy, że socjalizm jest dla nas zespołem społeczno-gospodarczych założeń wiązanych nie z materialistyczną lecz spiritualistyczną filozofią i jej normami etycznymi.

***

Tu też trzeba od razu poruszyć sprawę eklektyzmu. W tym wypadku adresat tego stwierdzenia jest jasny. Odpowiadamy więc prosto. Naszych poszczególnych sformułowań nie uważamy za „nie podlegające dyskusji aksjomaty".

Na tej jednak tylko drodze widzimy słuszność rozwiązań. Pracę pionierską, o której z uznaniem i zrozumieniem wyraża się K. Zajczniewski, realizujemy w atmosferze niechęci i podejrzeń. Każdą dyskusję w tych sprawach witamy z uznaniem i zadowoleniem, walczymy o zainteresowanie tą problematyką i zerwanie z inercją myślową.

Wiemy, że nasze sformułowania nie posiadają przymiotu absolutnej doskonałości. Jednakże założenia nasze nie są „ekletyczną miksturą" tworzoną z łat sztukowanych i zapożyczanych z górnych obozów. Dorobku bowiem myślowego systemów niekatolickich nie włączamy mechanicznie do naszych sformułowań, ale poddajemy go gruntownemu przewartościowaniu pod kątem jego historycznej słuszności i zgodności z tym, co uważamy w katolicyźmie za nienaruszalne i ponadczasowe. Nie ma tu więc jakiejś kazuistyki i „sięgania albo do marksizmu albo do rozwązań katolickich poprzedników". Cenimy sobie wysoko dorobek myśli katolickiej i szanujemy też dorobek myśli niekatolickiej. Oba te elementy są dla nas źródłem, z którego wiele czerpiemy. Jednakże w budowaniu naszych sformułowań ideowych posługujemy się „jednym z zespołów założeń", którego Zajczniewski nie dostrzega. Jest nim z jednej strony absolutnie obowiązujący nas zespół norm etycznych i dogmatów wiary, z drugiej zaś strony rozumienie rzeczywistości i historycznych potrzeb i tendencji naszej epoki. Te dwa podstawowe wyznaczniki formułują nasze wypowiedzi. Ten zespół założeń może i musi być udoskonalany, natomiast innej recepty na rozwiązywanie współczesnej problematyki nie znajdzie Zajczniewski także i w postulowanej syntezie. Nie można bowiem stawiać zagadnienia na głowie. Być może synteza filozoficzna da nam doskonalszy wyraz naszego zespołu założeń. Będzie to jednak — naszym zdaniem wyraz doskonalszy ale nie sprzeczny z naszymi założeniami. Nad takim wyrazem pracujemy i chcemy by pracowali nad nim z nami wszyscy, którym realizowane przez zadanie jest drogie. Natomiast nie widzimy powodu do traktowania dotychczasowych sformułowań jako mechanicznego eklektyzmu.

Musimy natomiast powiedzieć K. Zajczniewskiemu, że naszym zdaniem drogą, która prowadzi do jak najbardziej organicznego i twórczego budowania założeń ideowych, jest nie tylko droga teoretycznych dyskusji i rozważań. Organiczność ta rodzi się bowiem nie tylko ze spekulacji myślowych, ale i z ustawicznej kontroli życiowej w egzaminie, jakiemu poddaje nasze założenia rzeczywistość.

Z tego też powodu odcinając się zdecydowanie od hurraaktywizmu trzeba podkreślić głęboką przepaść jaka dzieli go od podstawy konkretnej i świadomej odpowiedzialności politycznej.

Zajczniewski przeciwstawił hurraaktywizmowi zwrot do pracy teoretycznej. Dokonał tu jednak zbyt łatwego uproszczenia. Naszym zdaniem nie wolno dziś nawoływać ani do hurraaktywizmu ani do superintelektualizmu. Trzeba kształcić w sobie i u innych postawę odpowiedzialności. Jest to postawa, która wynika z wielkiego i świadomego poczucia odpowiedzialności za dziejący się bieg wydarzeń. Odpowiedzialności, od której nikt i nic nas nie zwalnia bez względu na stopień naszego wpływu. Odpowiedzialności, której motywem jest troska o człowieka i społeczeństwo, o ideały przeżyte i ukochane.

Społeczny ruch katolicki nie może bowiem istnieć w historycznej próżni. Nie może istnieć tylko w pięknie zapisanych foliałach pełnych najbardziej choćby słusznych i trafnych myśli. Musi być rzeczywistością, w tej rzeczywistości istnieć, w niej wybierać i ponosić konsekwencje tego wyboru. Postawa odpowiedzialności, o którą wołamy, warunkuje istnienie tego ruchu.

Powiedzieliśmy, że zadanie jest dla nas jedno, różne mogą być tylko role. W realizacji tego zadania starczy miejsca i pracy i dla teoretyków i dla praktyków. Potrzeba tylko jednego bardzo ważnego elementu: współzależności i współdziałania. Obaj — praktyk i teoretyk — muszą wykazywać postawę odpowiedzialności nie tylko za własny odcinek, ale za całe zadanie. Bez tej bowiem świadomości praca ideologiczna teoretyka będzie zawieszona w próżni, a praca praktyka łatwo popadnie w hurraaktywizm. Dlatego uważamy za jedynie słuszne przeciwstawić hurraaktywizmowi jak i propagowanemu przez Zjaczniewskiego zwrotowi do pracy teoretycznej postawę integralnie wiążącą wysiłek teoretyczny z praktycznym działaniem. Postawę uznającą nierozerwalność zadań, podział ról w ramach jednego zadania i konkretną, świadomą odpowiedzialność. Mamy przekonanie, że jest to postawa jedynie słuszna. Nazwijmy ją mianem postawy twórczego realizmu.

***

Zadanie, jak to już podkreślaliśmy, jest wielkie, złożone i trudne. Trzeba zdawać sobie sprawę, że realizować ją będziemy słusznie tylko wówczas, jeśli nasze działanie cechować będzie umiar, rozwaga i wysoka dyscyplina wewnętrzna. Łatwiej przyjąć postawę krańcową, a daleko trudniej zachować konsekwentnie postawę umiaru i harmonii. Droga to najtrudniejsza, ale jedyna dla katolika. Dlatego warto przypomnieć tu, co pisał kiedyś, już dość dawno temu, Marian Jedlicz w „Dziś i Jutro", że nasze zwycięstwo jest zwycięstwem przez przezwyciężanie się. Realizacji naszego zadania musi towarzyszyć przezwyciężanie siebie. Przezwyciężanie wszelkich uproszczeń i własnych błędów. Musi nam towarzyszyć głęboka pokora. Widząc własną niedoskonałość nie wolno nam jednak nie widzieć wielkości zadania i nie widzieć wielkości obowiązku, który trzeba podejmować. Tę wielkość zadania trzeba zaś widzieć nie w płaszczyźnie własnych interesów i nie tylko nawet w płaszczyźnie interesów własnego zespołu. Trzeba umieć to wielkie zadanie widzieć wmontowane w wielką architekturę spraw wiecznych. Wówczas to w realizowaniu naszego zadania będziemy głębsi i bardziej humanistyczni. Dojrzymy w nim każdego człowieka i całe społeczeństwo. I będziemy umieć w płaszczyźnie codziennego życia odczuwać w realizowaniu tego zadania naszą drogę do Boga. A nasza ideologia tylko wówczas będzie ideologią służby.

Tadeusz Mazowiecki

Czytelnik uważa, że...

PRZEKROJOWY HUMOR

Zaprawdę z iście niewyszukanym humorem potrafi tygodnik „Przekrój" przedstawić swym czytelnikom sprawy poważne.

Nader urozmaicona rubryka „Rozmaitości" (numer 238) przynosi felieton pana Kerna pt. „Miłe zabawki". Kraków od dawien dawna mający opinię spokojnego, zabytkowego miasta z licznymi klasztorami i zamkiem, zmienił ostatnio swój tradycyjny charakter. Młodą generację królewskiego miasta ogarnęła mania strzelania z tzw. „bombek".

Zgadzam się z p. Kernem, że trzeba to stanowczo ukrócić, ale z drugiej strony niektóre fragmenty felietonu nie wskazują na to, aby autor umiał zachować pewną miarę w stosowaniu chwytów humorystycznych. Gromady dzieciarni chodzą i strzelają, że aż „królowa Jadzia" przewraca się w madeyskim łożu, a Słowacki już dostał chronicznej bezsenności".

Na przyszłość naprawdę lepiej by wyszło na korzyść i panu Kernowi i czytelnikom „Przekroju", gdyby mówiąc o królowej Jadwidze, której proces beatyfikacji niedawno wznowiono, czy też o wielkim polskim poecie — zachowano większą powagę i odnoszono się do tych osób z należnym szacunkiem.

Ryszard Wasita

PLANY SZALEŃCA

W liście pasterskim ogłoszonym z okazji pięćdziesięciolecia kapłaństwa Ojca Św. podaje kardynał Faulhaber, arcybiskup Monachium, nieznaną wiadomość o szaleńczych planach Hitlera wobec Kościoła Katolickiego. Już po zamknięciu przewodu sądowego w Norymberdze przeciw hitlerowskim zbrodniarzom wojennym ujawniono, że Hitler zamierzał zlikwidować katolicyzm przez ustanowienie odrębnych kościołów w każdym podbitym „państwie", na czele których stałby samodzielny „papież". Obłąkane te plany rzucają nowe światło na postać ex-führera, a tym samym katolikom niemieckim, którzy nie zdawali sobie sprawy z grozy hitleryzmu, pozwolą na wnioski co do losu Kościoła w wypadku zwycięstwa brunatnej doktryny.

Gaweł

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIS i JUTRO" ŚP. WYD. „PAX" WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL
CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ NA KONTO PKO I-8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

SPROSTOWANIE

Do artykułu Mikołaja Rostworowskiego pt. „Świeży nurt" drukowanego w poprzednim numerze naszego pisma, wkradła się niemiła pomyłka, którą niniejszym prostujemy. Zamiast zdania: „o księżycowo sentymentalnych strofach, nie mających wiele wspólnego — z religiami tego świata" winno być „o księżycowo sentymentalnych strofach, nie mających wiele wspólnego z realiami tego świata".

Redakcja

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski
Wydawca Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr 1-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5.
B-9[illegible]